

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Biblioteka Miejska
Łódź
Andrzeja 14.

MUSIMY NAUCZYĆ SIĘ REAL-
NEGO MYŚLENIA I ENERGII
W DZIAŁANIU

Bolesław Prus

Rok 2

Łódź, 23 września 1946 r.

Nr 37 (55)

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

Dwie współczesności

Znowu dostarczono mi cały stos czasopism angielskich i amerykańskich, znowu dziesiątki artykułów przeczytałem lub przejrzałem, znowu dzień mi upłynął wśród tej nierytmicznej publicystyki. Nierytmicznej? Tak. Bo raczej beładnie rozproszona wśród doraźnych tylko przejawów życia, niż skupiona wokół jakichś pozytywnych myśli współczesnych. Ogarnia zniechęcenie. Publicystyka ta przeważnie z taką powierzchownością traktuje wydarzenia i zagadnienia, że chciałoby się niejednokrotnie rozszarpać czytana wypowiedź, aby znaleźć w niej jakieś głębsze spojrzenie na przyczyny i cele, na sens społeczny, na historię spraw. Nadaremnie.

Nadaremnie. Jest to świat, w którym baczysz się pilnie, aby bez względu na sytuację nie obarczać publiczności trudem historycznego myślenia. Albo w którym — wśród mnóstwa najprzeróżniejszych rzeczy, wśród ogromnego bogactwa spraw i zjawisk — zapodziały się gdzieś tylko idee postępu społecznego, idee warte pióra i myśli. Przy każdej okazji bezskutecznie staram się je tam odnaleźć. W świecie czasopism tamtejszych — jest to świat dotknięty dziś jak próchnicą — głębokim kryzysem ideologicznym.

Nie chodzi mi o to, aby atakować. Świat ten znam także i z innych jego stron — i niejedno w nim podziwiam i cenię. Ów kryzys ideologiczny nikogo chyba — komu na sercu leżą sprawy historycznego postępu ludzkiego, sprawy współczesnego humanizmu — nie może cieszyć. Raczej przeraża i niepokoi. Ten świat „anglosaski” — tak w naszym kraju przez niektórych upragniony i idealizowany — jest w gruncie rzeczy światem chwiejnym i chorym.

Nie z pozorów. Z pozorów są to kraje ustabilizowane właśnie, kraje doskonałego porządku w życiu codziennym, nie zniszczone, nie rozprężone, nie zdemoralizowane wojną. Cóż za porównanie ze stosunkami u nas! U nas pozory są — mówiąc szczerze — w wielu dziedzinach okropne. Podczas gdy po szosach grasują gdzieś niegdzie bandy politycznych zbrodniarzy i politycznych głupców — urzędnicy administracji i funkcjonariusze milicji, często niewykwalifikowani lub nawet wręcz rekrutujący się spośród młodzieży wychowanej i zdemoralizowanej wojną i niemiecką okupacją, dalecy są od koniecznego poziomu, i nie tylko w wielu wypadkach źle wykonują zarządzenia, ale nierzadko je zniekształcają i przekraczają, powodując tym rozgoryczenie, nieufność, dezorientację. W rezultacie winą obarcza się nie społeczeństwo, które — po wojnie — taki daje materiał ludzki, ale rząd i ustrój, nie uświadamiając sobie, że w obecnym, na zgłiszczach urodzonym okresie, każdy rząd na taki sam materiał ludzki byłby skazany.

Nie przestaje krzyczeć się łapownictwo, powtarzają się ciągle jeszcze wypadki samowoli. Te i inne pozory często przesłaniają nam kształt podstawowej prawdy o naszym kraju. A przecież gdy stanąć bez złośliwej woli przed obliczem tej prawdy — wszystkie owe pozory stają się nie istotne, przemijające. Ta prawda ma natomiast cechy stałości. Ta prawda jest budowanie na nowo życia polskiego według określonej idei polityczno - społecznej, wiodącej ku współczesnej, zdrowej ekonomicznej demokracji.

Droga jest długa, ale umieliśmy już na nią wstąpić. I w tym nasza wyższość nad „światem anglosaskim”, który — zachowując zewnętrzne pozory stabilizacji dzięki innym warunkom wojny i dzięki swej obawie decydowania się na rewolucję strukturalną — pozostał w ciemnym zaułku bezideowości, nie widzi przed sobą dostatecznie wyraźnie dróg i sposobów przełamania kręgu przestarzałych form ustro-

jowych i zrealizowania przebudowy społecznej, której domaga się historia ludzka i życie.

I aczkolwiek możemy być dumni z tego, że myślą i realizacją myśli wyprzedzamy ich tak wyraźnie, to jednak sam fakt tego ich smutnego marudstwa nie jest wcale rzeczą pocieszającą. Opóźnia to bowiem osiągnięcie prawdziwie harmonijnego współżycia narodów w rozwoju ogólnoludzkiej cywilizacji, wiążącej się w naturalny sposób z socjalizmem. Współczujemy chwiejnym i opieszałym, a jednocześnie — w imię postępu — życzymy im, aby ta chwiejność i opieszałość nie trwała zbyt długo.

Tymczasem jednak stan rzeczy przedstawia się coraz gorzej, mgławica kryzysu ideologicznego gęstnieje niepokojąco. W angielskim, politycznie centrowym tygodniku „The New Statesman and Nation” (z 3 sierpnia, 1946), w artykule o akcji „wychowawczej” na terenie okupacji brytyjskiej w Niemczech, cytuję: „Dzieci w szkołach są w 90 procentach zhitleryzowane, a nasza neutralna postawa raczej zachęca ich, niż zraża, do kontynuowania i uwielbiania zła, którym są przepełnione. Bo ta nasza postawa pokazuje, że my sami nie mamy wiary w Demokrację”.

Odkładam tygodnik angielski, podnoszę przed oczy inny tekst i czytam: „Z górą pół stulecia spędziłem w Ameryce i zdaje mi się lepiej niż przeciętny człowiek obeznanym z warunkami życia w tym kraju. Kiedykolwiek pomyślę o tym, że niedługo przyjdzie mi pożegnać się z tym strasznym, nielitościwym krajem, jak i z miłą w ogóle, powiadam sobie, że w ten sposób uniknę przeżycia klęsk nieuniknionych w okresie społecznego przewrotu. Niewątpliwie radykalny przewrót wyłoni się z ekonomicznego bezładu i politycznej ciemnoty”.

Ta wypowiedź — to już nie z czasopism. W publicystyce nie udało mi się odnaleźć jakiegokolwiek jasnej diagnozy. Słowa te — to urywki, wybrany z listów starego, 75-letniego, dawno już „zamerykanizowanego” emigranta, pisanych ostatnio do przebywającego w Polsce siostrzeńca, który mi je, jako interesującą lekturę, udostępnił. Lektura istotnie niezwykła! W tych paru listach — obok spraw rodzinnych — w krótkich uwagach naświetlone są wewnętrzne stosunki amerykańskie tak plastycznie i tak beztendencyjnie, że uważam, że nabierają znaczenia niebiałego materiału faktycznego. A kreśli je starzec — jak z treści listów wynika — nabożny i nabożnie oczekujący śmierci, wcale nie radykalny politycznie, lecz raczej liberalny starzec daty, patrzący na życie jak na mimo przepływającą historię. Pochyliam się nad jego listami. W wielu swych fragmentach wyglądają już jak testament. W innych wnikiwie krytyczne, jakże rozumiejące postulat współczesności.

New York, 25 Listopada, 1945: „Leczenie Ewy jest wielce utrudnione przez wykończoną krajową gospodarkę. Mianowicie fenomenalny ekonomiczny wysiłek naszego Kraju w związku z walką na rozrzuconych okresach świata spowodował uszczuplenie żywnościowych zasobów do takiego stopnia że, pomimo lekarskich żądań od administracji, Ewa przez długi czas nie otrzymywała należytego pokarmu i w konsekwencji coraz więcej słabła...”

„Nasz syn po kilkuletniej służbie chirurgicznej w wojsku wrócił zinvalidowany. Obecnie jest z żoną i dziećmi w Poughkeepsie (80 mil stąd), w domu teściowej. Absolutnie niemożliwe jest znaleźć mieszkanie w mieście...”

New York, 10 Stycznia, 1946: „Z daleka nie możemy śmiało udzielać rady a li tylko ufać że rozsądek i siła woli umiędobli Wam przetrzymać period nieuniknialnego chaosu i,

wraz z odżyłym Krajem, dotrzeć do korzystnego stanowiska. Nie wątpimy, że nowa Polska ma wielką przyszłość przed sobą — jak to zapewnia nowy ambasador polski — profesor Lange, człowiek wielce szanowany przez postępowe koła w Ameryce, za jego wykształcenie i taktowność. Z innych źródeł też otrzymujemy sporo informacji — głównie przez nowoprzybyłe dziennikarskie raporty. Wszyscy zgodni na jednym punkcie: że Polska bohatercko pracuje nad wyrwaniem się z przesawiska, że jeszcze wiele, wiele trudności musi przebyć ale że, z przywróceniem wewnętrznej zgody, niewątpliwie stworzy zdrowe i mocne społeczeństwo...”

New York, 11 Marca, 1946: „Kiedy ja tutaj przybyłem, mniej więcej 56 lat temu, kraj był pogrążony w jednym z wielu periodycznych kryzysów od bezrobocia... Takie kryzysy zdarzały się co 9 lub 10 lat. W późniejszych czasach — częściej. Niestety ten bogaty kraj tak źle gospodarzy, że większość ludności nie ma stałe zapewnionego bytu. Pamiętam że w czasie mojego przyjazdu większość techników była bez posad kilka lat. Ja należałem do wybrańców losu. W owym czasie już było blisko pięć milionów bezrobotnych. Naturalnie uważano to za wyjątkowy wypadek. Z czasem doszło do tego że taka moc bezrobotnych była zwykłą normą nawet w periodach tak zwanego dobrobytu — z bardzo prostej przyczyny, mianowicie dlatego że dzięki systematycznemu oganianiu produkcji, nasz przemysłowy mechanizm nie może zużytkować wszystkich robotników w kraju. Nasi ekonomiści uważają to za całkiem naturalny sposób funkcjonowania systemu zbudowanego na zasadzie konkurencji. Pamiętam że w fabryce maszyn w której pracowałem często słyszałem że zawodowe organizowanie się jest „unamerican” — nie amerykańskie. Ma się rozumieć że tego rodzaju filozofia była starannie kultywowana przez tych co najwięcej skorzystali z niej. Wciąż jeszcze nasza demagogia potępia takie zawodowe zrzeszenia, ale teraz nazywają je „niedemokratyczne”. Podczas wojny, kiedy nasz rząd był boleśnie poległy na poparciu robotników, federalny kongres z bólem serca oświadczył w formie prawa że zawodowe zrzeszenie jest całkiem dozwolone, ale tuż po wojnie nasi magnaci podjęli walkę przeciwko temu prawu. Zapewne następne wybory nowego prezydenta będą skoncentrowane na tej kwestii.

Od czasu wojny mamy tutaj strajki dotąd niebywałego rozmiaru. Te strajki wcale nie szkodzą plutokratom którzy zaskarbili sobie bajeczne sumy podczas wojny... Rząd wyrażał że w tym tylko jednym strajku robotnicy stracili 175 milionów. Wciąż jeszcze trwają stare strajki i już nowe nam grożą.

Czytam że mamy tutaj przeszło sześć milionów ludzi pracujących na roli, głównie w bałwanianej agromonji, nie za gotówkę a za część plonów. Rząd wyrachował że dochód tych pariasów wynosił pięć centów dziennie. Nic więc dziwnego że z pierwszych kilku milionów rekrutów nasza armia musiała posłać do domu czterdzieści procent. Taka jest zdrowotność w najbogatszym kraju na świecie...

A* do niedawna polscy i węgierscy chłopcy wyłącznie pracowali w węgierskich kopalniach za bezcen, cierpiąc przytem pogardę którą tubylcy mają dla białaków obcookrajowców. Jednakowoż, po zawodowym zrzeszeniu się, ci chłopcy o wiele lepiej się mieli. Wtedy i biedni tubylcy przylgnęli do tych „damned foreigners” — przeklętych obcookrajowców. Wogóle tacy pospolici wyrobnicy potem i krwili i uniżeniem ostatecznie tutaj wytrzymują. Najtrudniej jest ludzdom średniej klasy. Większość takich bierze się do handlu przy czym jakoś tak wytrwają do czasu kiedy dzieci podrosną i pomogą zarobkować. Prawdopodobnie najwięcej tutaj cierpią artyści których złudna nadzieja ciągnie dotąd ze wszystkich stron świata. Jeżeli nie wynajmą się na parobków na wsi lub wyrobników w miastach, głódza normalnie — jeżeli dobrze płatny mniej inteligentny krewniak nie opiekuje się nimi. Od wielu, wielu lat zarobkująca część ludności miała na swoich barkach miliony wydziedziczonych. Kiedy po kilku latach kwitnięcia, nasz przemysł wyschnie i zwiednie, głód będzie powszechny...

Zdarzało się, w krytycznych czasach, że zdolny demagog w przeciągu kilku miesięcy uzbierał naokoło siebie miliony wierzących w

jego rajskie widoki. Jednego takiego zastrzelił postępowy młody lekarz — osiem lat temu, w sam czas bo fenomenalna popularność tego demagoga zagrażała wyborowi Roosevelta. Następca tego amerykańskiego pseudo-zbawiciela wtedy od razu zabrał się do gruntownego uprawiania naszej zaniedbanej społecznej roli. Jest on tylko jednym z wielu proroków — z pod gwiazdy Hitlera. Wszyscy oni zaczynają swoją czynność siwem antysemityzmu. Często słyszymy i czytamy ubolewania szczerych postępców na próby szerzenia antysemityzmu w ostatnich latach. Niestety ekonomiczne nieład tutaj zbyt dobrze nadają się na tego rodzaju czarodziejskie leki. Jak w Europie tak i tutaj mamy dużo plutokratów którzy chętnie oslepią antysemityzmem tych co riebawem mogą dojrzeć istotne przyczyny nieładów. Wszakże był to nasz własny Ford, bajecznie zubożony nieuk, który 10 lat temu dał Niemcom trzysta tysięcy dolarów na wydawanie sławetnego kłamstwa, Książki Starosty Sjonu oraz na wydruki podobnych potwornych wytworów jego tutejszych igarzy. Dopiero wtedy przestał systematycznie propagandować kiedy Louis Marshall, znany adwokat, wystosował do Forda dobrze udokumentowane dowody marności wyrobów pana Forda. Wtedy dopiero bojąc się że ludność przestanie kupować jego samochody, Ford opublikował jego niby to żal z powodu błędów jego podwładnych i solennie przyrzekł raz na zawsze przestać szerzenia oszczerstw. Ford to tylko jeden z licznych gagatków którzy mają wodę dla niecznych celów...

Tutejsza ludność jest skłonna do hysterii — nerwowa, zapalczywa, zawzięta. Te cechy robiają dobrego wojaka z amerykańkiana. Również robiają z niego łatwo zapalny materiał do przewrótów domowych. Jeżeli rozsądniejsi magnaci nie uregulują warunków życia przez należyte ustępstwa, nawet ofiary, kilkanaście milionów półgłówek hitlerowskiego pokroju wybuchnie strasznym warjactwem. Wiadomo że stale szykują się do tego. Miejęmy nadzieję że ta ciemna masa będzie przeważona przez rozsądnijszą bo światlejszą ludność która wymoże reformy racjonalne. Niestety, nawet ta sfera aż nader skłonna do hysterii a więc do gwałtownego wybuchu. Wobec takiego stanu rzeczy nie możemy uniknąć strasznego rozprawy. Nasz raj jest na wulkanie. Nie żałuję, że pożegnany go przed wybuchem...

New York, 8 kwietnia, 1946: „Wygórowany dobrobyt małego minority tendencjonalnie i tradycyjnie jest okrzykiwany jako dowód ogólnego bogactwa. Faktycznie, nawet w czasach najlepszych norma bezrobocia ustaliła się do pięciu milionów. Ma się rozumieć, podczas przesilenia, ta liczba podwaja się, nawet potraja. W danej chwili wedle rządowego rachunku mamy tylko 3.000.000 bezrobotnych — i to w obliczu nierozpuszczonego kilku-milionowego wojska. Wedle naszego systemu, opartego na umyślnym ograniczeniu produkcji, musimy mieć nadmiar robotniczych zasobów dla uniknięcia wygórowanych żądań pracowników. Przewodnicy - przemysłowcy wyraźnie i stanowczo zwalczają plany zapewnienia utrzymania dla wszystkich zdolnych do pracy. Potępiają wielomilionowymi wysiłkami, propagandą w gazetach, w radio, w szkołach i kościołach wszystkie plany uregulowania kwestii pracy dla ogółu...”

Podczas drugiego terminu prezydenckiego, Roosevelt miał postępowego wice-prezydenta — Henry Wallace. Pan Wallace stoi na czele odrębu demokratycznej partii, który dąży do stałego usunięcia bezrobocia przez stworzenie projektów rządowych uszczuplenia prywatnego zapotrzebowania robotników. Nasi magnaci, ma się rozumieć, uważają Wallace'a za ucieleśnienie diabła. Taki silny wpływ mają ci panowie że kiedy przyszło do ostatnich wyborów, Roosevelt nie odważył się pozwać do rządu razem z sobą tego niebezpiecznego nieprzyjaciela bezrobocia i biedy. Pomimo wszechświatowego uwielbienia jakim Roosevelt się cieszył, nie miał on szansy tutaj tak długo jak długo tolerował obok siebie tak strasznego nowatora.

Teraz okropne widmo zażegnane. Przez kilka lat wszystkie gazety będą wrzeszczały do niebios o szczęściu, o fenomenalnym dobrobycie. Malutki głosik liberalnej prasy, mówiący o milionach głodujących nawet kiedy produkcja stoi na szczycie — przebrzmiał jak brzęczenie owadów...

Istotnie tragicznym jest los przestarzałych. Bardzo niewiele młodych jest w stanie utrzymania wielomiljonowego legionu ludzi starych. Co prawda, w niektórych stanach istnieje prawo zapewniające starym miesieźną zapomogę — od 15 do 30 dolarów na rodzinę. Jest to nie dość na utrzymanie nawet najskromniejsze ale całkiem wystarczające na ułulanie czulego sumienia Uncle Sam'a. Nawet po stałej, ciężkiej, cało-zyciowej pracy przeciętny Amerykanin nie oszczędził dość na utrzymanie siebie na schyłku życia. Aż nadto blisko widzę dowody tego. O obecnych nie mówi się — według przysłowia. Mogę jednak wspomnieć brata Dada w tym względzie, również meza siostry Berty... Ale dość o tem. Trudno jest znieść nawet myśl o tem...

Tak to wygląda ten kraj od strony przeciętnego człowieka, który w nim życie przeżył. Tak to wygląda od wewnątrz Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, o-kazale interweniujące w Azji, w Afryce, w Europie... Brak myśli dość silnej aby wskazała drogę wyjścia z zakłętą kręgą niesprawiedliwości społecznej i krótkowzrocznej, zapóźnionej gospodarki, brak patriotyzmu, który by podporządkowywał doraźne korzyści jednej grupy interesom przyszłości kraju, brak odwagi twórczej.

A Wielka Brytania? Tygodnik „Cavalade” (z 1.VI. b. r.), rzucając światło na pewną sprawę — sprawę jedną z wielu — nie umie wyciągnąć stąd ogólniejszych wniosków w sposób dostatecznie jasny i śmiały. Artykuł omawia stosunki, panujące w jednym z okręgów węglowych w Walii, nazywając tamtejszą atmosferę — atmosferą „mystyczną”. Na czymże ta „mystyczna” atmosfera polega? Czytamy: „...Górniki są sercem kopalni. Ten oczywisty fakt był lekceważony przez każdy rząd naszego kraju — nie wyłączając obecnego. Bo jak inaczej wytłumaczyć sobie straszliwe warunki, w jakich ci ludzie żyją dotychczas? Można być nie czerwonym, ale szkarłatnym z oburzenia. Gdyż spotyka się tu najwyższą niesprawiedliwość w przemyśle, jaką w ogóle da się gdziekolwiek zobaczyć. Mieszkania? W całym okręgu — pozałowania godne. Wyżywienie? Tak niewystarczające, że żony górników automatycznie wyrzekają się większej części swoich własnych przydziałów, aby dokarmiać mężów w ich znożnej pracy w kopalni... Jest tyle propagandy, tyle kłamstw na temat górnictwa, że nie łatwo zobaczyć problem ten w jego właściwej postaci... A od pracy górnika zależy praca 2.000.000 ludzi w kraju...”

Zdziwiony publicysta angielski widzi w tym wszystkim jakąś „mystykę”. I choć w dalszym ciągu artykułu wysuwa pewne doraźne propozycje praktyczne — to jednak nie przychodzi mu na myśl głębiej zastanowić się nad wadami ustroju, nad drogami zasadniczej przebudowy stosunków.

I w tym właśnie wyraża się cała bezideowość tego świata. Bezideowość, która uniemożliwia planową naprawę stanu rzeczy.

Ten stan rzeczy w dziedzinie plac, ubezpieczeń społecznych i ogólnych warunków życia jest u nas również jeszcze nie zadawalający, w niektórych dziedzinach gorszy, w niektórych dziedzinach wprost fatalny. A jednak jest pewna zasadnicza różnica, którą trzeba sobie wyraźnie uświadomić: W Polsce, dzięki przebudowie ustroju, dzięki przeprowadzeniu śmiałych reform, stworzone zostały podstawy dla stałej, planowej poprawy, która staje się i stawać się będzie coraz bardziej widoczna w miarę postępów organizacyjnych i umacniania się spokoju w kraju. Spokojny, który jest nam potrzebny koniecznie, gdyż droga idei racjonalnych jest drogą najtrudniejszą, najpoważniejszą i najbardziej odpowiedzialną.

Natomiast w „świecie anglosaskim”, a już w Ameryce szczególnie, sytuacja wewnętrzna — na skutek kulturowania przestarzałych form gospodarczych, na skutek braku współczesnej myśli postępowej — może uleść tylko pogorszeniu. My, Polacy, weszliśmy na drogę rewolucji, aby dojść nią wreszcie do nowej, racjonalniejszej normalizacji stosunków. Oni — pozostali w normach, które już do tego stopnia spróchniały, że stały się dla nich raczej zaczerwianym kołem, niż punktem wyjścia do postępowej, najpoważniejszej choćby, ewolucji.

Dla nas — zjawiska złych warunków życia, niesprawiedliwości społecznej i absurdów ekonomicznych — to nie jest żadna „mystyka”. Wiemy dobrze skąd się te zjawiska biorą, jakie są ich związki i jakie są drogi, wiedzące do ich zlikwidowania. Natomiast na istną „mystykę” niekiedy wygląda nam — ludziom wierzącym w sensowność postępu i wierzącym w Polskę — bezkrytyczne uwielbienie, w jakim odnosi się do tego „anglosaskiego” świata pewna część naszego społeczeństwa. Zrozumiałe jest, że wzdychają doń ci, którzy korzystali z wyzysku kapitału i dla których te

korzyści były zawsze ważniejsze, niż interesy Polski. Wzdychają oni ku stosunkom, panującym na „dalekim Zachodzie”, bo tam jeszcze stosunki te wspierają się na wyzysku kapitału najmocniej. Ale dlaczego tak bezkrytycznie patrzą w tamtym kierunku nieraz i inni, których interesy wyraźnie związane są z przebudową gospodarczą i polityczną? Czy nie pojmują pozytywnego sensu, jaki tkwi w celach tej przebudowy, albo czy nie pojmują cynizmu, z jakim „anglosasi” uprawiają swą politykę w stosunku do nas — gdy podsycają w naszym kraju opozycję kapitalistyczną, pragnąc jednocześnie pozbawić nas ziem zachodnich, czyli tym samym odebrać nam wszelkie możliwości osiągnięcia siły i samodzielności gospodarczej?

Z drugiej strony — wśród ludzi o trzeźwym, niezakłamanym zmyśle społecznym — nie ma chyba człowieka do tego stopnia szalonego, aby dzisiaj szukał wzorów dla swego kraju w ustroju gospodarczym takiej Ameryki na przykład, w ustroju, wytwarzającym sytuację wewnętrzną, tak prosto i wnikliwie scharakteryzowaną choćby w cytowanych tu listach... Wpraw-

dzie Angli pod rządami labourystów próbuje przełamać brutalność prywatnego kapitału — ale robiąc to połowicznie, bez wysunięcia dostatecznie radykalnych celów, reprezentując socjalizm zbyt nieśmiało w obliczu ciężkich zrzębów konserwatywnego ustroju — daleka jest jeszcze od nowego porządku współczesności, ku któremu my już, z pełną świadomością celów i odpowiedzialności, idziemy.

W świetle tej sytuacji rzeczywiście — próba ingerencji tych państw w nasze sprawy wewnętrzne jest conajmniej objawem ich braku „samokrytycyzmu”. Nasze sprawy wewnętrzne są jawne i każdy może się im przyjrzeć. Nie dziwnego, że niektórzy Anglicy i Amerykanie „spraw tych nie rozumieją, skoro — jak to wynika z publicystyki w ich krajach — często nie rozumieją istoty spraw swoich własnych.

Ważniejsze jest jednak, aby nasze społeczeństwo rozumiało dobrze sprawy własne i cudze. Aby u nas patrzono na rzeczywistość w sposób spokojny, rzetelny i rozumny. Jesteśmy na drodze do zorganizowania życia wewnętrznego kraju w sposób odpowiadający potrzebom współczesności,

wolny od balastu form przestarzałych, o których uczy nas doświadczenie, że są wadliwe. To, że jesteśmy na drodze ku temu, znaczy, że życie to nie zostało jeszcze całkowicie zorganizowane i ustabilizowane. Stąd oburzające pomyłki, denerwujące niedociągnięcia, a istnienie zbrojnych band „leśnych” ogólnie zaostrza sytuację, zmuszając administrację do czujności i podejrzliwości. Można by się nad tym długo rozwodzić i krytykować. Wszystko to jednak jest wynikiem rozmaitych okoliczności, a nie zasad, na których się wspiera idea nowego, lepszego porządku. I trzeba mieć uczciwość rozróżniania tych rzeczy.

Powtórę, chcąc zbudować współczesny, prawdziwie postępowy ustrój gospodarczo-społeczny — nie można dokonać tego w nieodpowiadającej mu sytuacji wewnętrzno-politycznej. Nie rozumieją tego właśnie Anglosasi, a szczególnie Amerykanie, i stąd ich bezowocne wysiłki. Ponieważ zaś my to rozumiemy — bronimy naszej, socjalistycznej idei demokracji współczesnej przeciwko poglądom wstecznym, historycznie zapóźnionym i cudzym.

Juliusz Żulawski

MIECZYSLAW WIONCZEK

NIEUKOŃCZONA REWOLUCJA

Mexico City, w lipcu.

Na niewielkim metalowym znaczku o narodowych barwach Meksyku znajduje się miniaturowy portret przystojnego mężczyzny, opatrzony podpisem — Miguel Aleman — Candidato Nacional PRI 1946 — 1952. Kiedy odwracam znaczek na jego wewnętrznej stronie jest jeszcze jeden napis — Greenduck Co. Chicago. Ten znaczek noszony w dniu meksykańskich wyborów przez setki tysięcy zwolenników Miguela Alemana jest skrótem całej problematyki dzisiejszego Meksyku. Nietylko zresztą Meksyku anno 1946, ale historii jego ostatnich pięćdziesięciu lat.

Od tygodni na ulicach i placach Mexico City, Monterrey, Tampico, Vera Cruz i wielu osiedli od meksykańskiej Kalifornii do półwyspu Yukatan rozlepiono plakaty i wystawiono tablice z napisami — Miguel Aleman — Candidato Nacional 1946—1952 Industrialisation — Prosperidad. Bo też kandydat rządowej partii PRI (Partido de la Revolution Institucional), Miguel Aleman, oparty o koalicję od komunistów i lewicowych związków zawodowych do złożonego z meksykańskich przemysłowców centrum, idzie do wyborów prezydenckich z jednym właściwie punktem programu — industrializacją kraju. Ma to być ostatni, nie zrealizowany dotąd punkt Wielkiej Meksykańskiej Rewolucji, która — jedna z bardziej skomplikowanych — trwa już od trzydziestu sześciu lat i daleka jest do zakończenia. Najlepiej chyba o potrzebie zrealizowania jej programu świadczą owe, noszone w kłapkach marynarek alemanistów znaczki, wykonane w fabryce Mr. Greenducka w Chicago, mimo że gdyby było czym i gdzie można by zrobić dla mieszkańców całego kraju znaczki pamiątkowe nietylko z bezwartościowego stopu, ale z meksykańskiego srebra (blisko połowa produkcji światowej), miedzi, aluminium, cyny czy nawet wydobywanego w północnych prowincjach złota.

Wczoraj w małej kawiarence, której okna wychodzą na Pałac Sztuk w Mexico City pewien angielski lewicowy dziennikarz wyraził opinię, że Meksykańska Rewolucja — bądź nigdy nie była prawdziwą rewolucją (był od niej młodszy o trzy lata i nie mógł znać jej początków z autopsji), bądź też sfilistowała w ciągu owych trzydziestu sześciu lat tak bardzo, że nie poza słowami z niej nie pozostało. A przecież cały kraj żyje nią wciąż jeszcze i dowodem tego jest nie tylko nazwa rządowej partii (Partido de la Revolution Institucional, do niedawna Partido de la Revolution Mexicana), ale ilość miejsca, czasu i uwagi poświęcane odnawianiu słów Revolution Mexicana we wszelkich okolicznościach. Wszyscy prezydenci republiki od czasów Rewolucji, wszyscy ministrowie i wszyscy wystający choć o cal ponad bezimienną masę — są z nią związani niezależnie od dzisiejszych poglądów. Każdy homo novus, wchodzący do życia politycznego kraju w ostatnim ćwierćwieczu pytany bywa najpierw o udział i stosunek do Rewolucji. Z Rewolucją wreszcie związane jest jak najciszej (i tu wiemy wydają się najrzeczywistsze) całe intelektualne życie nowoczesnego Meksyku, jego wielcy malarze, poeci i ideologowie. Słowo Revolution pada z ust meksykańczyka równie często jak w międzywojennej Polsce odnawiano słowo najpierw Niepodległość, a potem Mocearstwo. Trzeba się przyjrzyć z bliska temu przedmiotowi powszechnej adoracji i jego dzisiejszym owocom niezależnie

od stopnia słuszności opinii angielskiego socjalisty. Jedno jest wiadome — Rewolucja Meksykańska nie została dotąd zakończona, a dowodem tego są między innymi wybory Miguela Alemana, ile ów wyprodukowany z meksykańskich surowców w Chicago znaczek wyborczy dla zwolenników industrializacji kraju.

Rewolucja Meksykańska, pierwsza chyba nowoczesna rewolucja socjalna, nie zlikwidowana w zarodku, rozpoczęła się w roku 1910 w kraju, którego stosunki społeczno-gospodarcze były połączeniem miejscowego feudalizmu z systemem kolonialnym, wprowadzonym przez zagraniczny kapitał. Cokolwiek się powie o dzisiejszym Meksyku, w którym obok najnowocześniejszych typów samochodów na oświetlonych neonami ulicach Mexico City istnieje gorzka nędza indiańskiego piona w odległości kilkudziesięciu mil od stolicy, to jednak nie ma tu żadnego porównania z stosunkami w chwili wybuchu Rewolucji. W roku 1910 połowa kraju należała do trzech tysięcy meksykańskich i obcych rodzin, a 95 proc. ludności nie posiadało dość gruntu na pomieszczenie w nim trumny. Ponad 90 proc. bogactw naturalnych kraju z wszystkimi źródłami naftowymi i kopalniami srebra było własnością kapitału zagranicznego, a władza nad kilkuset milionami wiejskich analfabetów należała nieograniczenie do kościoła i hacendados, wielkich właścicieli, uprawiających zresztą swoje własne metody odziedziczone po hiszpańskich przodkach. Penetracja północno-amerykańskiego i brytyjskiego kapitału przyniosła na początek stulecia Hearstom, Sinclairom i Dohenym miliony dolarów rocznych dochodów, a mieszkańcom kraju — narodzin gorzkiego przysłówia, że Meksyk jest matką cudzoziemcom, macochą — Meksykańczykom. Amerykański historyk, Hudson Strode, tak pisze o owym przedrewolucyjnym okresie Meksyku: „Kraj pogrążony był w korupcję polityczną, analfabetyzmie i przesadach. Potężne siły bogactwa i reakcji zamykały wszystkie drogi reformom. Zagraniczni właściciele koncesji, zjednoczeni z meksykańskimi konserwatystami przygotowani byli do trwałego oporu w celu utrzymania taniej siły robotniczej i haniebnych warunków pracy w przemyśle i rolnictwie. Potężnym sprzymierzeńcem ich był kościół, którego interesy finansowe uzależnione były od zacofania i analfabetyzmu pionów”.

Zainteresowanie bogactwami mineralnymi kraju przez kapitał zagraniczny, dało w efekcie co prawda pewien rozwój środków komunikacji, portów i powstania wielkiego przemysłu przetwórczego. Okres przedrewolucyjny dla ówczesnego podróżnika, który widział rosnący dobrobyt w stolicy, mógł się wydawać okresem prosperity. Ale wśród tego dobrobytu kilkunastu tysięcy standard żyćcy mas — i tak nieprawdopodobnie niski — obniżał się bezustannie. Robotnik rolny w haciendas otrzymywał za swą pracę cztery pesos miesięcznie i rację żywnościową. Cena zboża i fasoli, podstawowych artykułów żywnościowych, wzrosła w ciągu stulecia sześciokrotnie i przestarzałe metody produkcji uciły rosnący w ludność kraj — krajem importującym żywność. W ówczesnym Meksyku napotkać można było wszystkie formy wyzysku kapitalistycznego z sklepami należącymi do kompanii lub hacendados, w majątkach i fabrykach, w

którym robotnikom towarami płacono za pracę. Wybuchła, w tych warunkach, kierowana przez kilku idealistów, rewolucja wobec oporu kapitału i hacendados i wobec naiwności przywódców z Francisco Madero na czele, usiłujących realizować demokrację polityczną przed społeczną i gospodarczą, przyniosła pierwsze rezultaty dopiero po szeregu lat, kiedy przerodziła się w rewolucję socjalną.

Wykres kolei Rewolucji Meksykańskiej kształt miał pełnej zakrętów Rio Grande, wytyczającej północne granice kraju i zmieniającej często jej bieg. Jedno tylko nie zmienia się w przypływach i odpływach Rewolucji Meksykańskiej — linia podziału. Ta sama koalicja, która zlikwidowała Francisco Madero, jedną z najpikniejszych postaci nowoczesnego Meksyku, występuje kolejno na widowni przy wszystkich — a było ich kilka — kłóskach Rewolucji. Stanowią ją — zagraniczny wielki kapitał, hacendados, drobna burżuazja i kościół, używający jako narzędzia ciemnych, fanatycznych pionów. Nie zmieniło się w tym układzie nic w ciągu trzydziestu sześciu lat. Kontrkandydat ostatniego prezydenta Camacho — Gen. Almazan miał za sobą w wyborach przed sześciu laty: wielką własność, kościół, kapitał zagraniczny i drobnomieszczańskie organizacje synarchistów z hasłami odrestaurowania „dawnego chrześcijańskiego porządku”. Sinarquistas — znaczy „bez anarchii”. Kontrkandydat Miguela Alemana, senator Ezequiel Padilla ma dzisiaj za sobą te same siły i partia Alemana oskarża go o otwarcie w odezwach wyborczych o wysługiwanie się interesom kapitału zagranicznego i hacendados. Młodzi ludzie, spacerujący po ulicach Mexico City z barwnymi Padillami mają twarze i obyczaje członków ruchów faszystowskich, widywanych na ulicach europejskich miast. I nawet ich organizacje nazywają się bliźniaczo podobnie do faszystowskich organizacji zachodniej Europy — Partido de Action Nacional, Union Nacional Sinarquista. Ich przywódce Ezequiel Padilla tak charakteryzował londyński „Economist” parę miesięcy temu: „Człowiek ten personifikuje kompletne zerwanie z tradycjami Meksykańskiej Rewolucji. Jest uważany za adwokata jak najściślejszej współpracy z USA w formie, określanej przez jego przeciwników jako bezwarunkowe poddanie się „imperializmowi yanqui” przez udzielenie większych gwarancji obcym inwestorom. Jest także przeciwnikiem dalszych reform rolnych i socjalnych zdobywczy ruchu robotniczego”. Ta linia podziału jest jedyną stałą rzeczą w kraju, który mając od dwudziestu dwudziestu lat najnowocześniejszą społecznie Konstytucję, wciąż jeszcze dokończyć nie może swej Rewolucji.

Głównym bohaterem Konstytucji Meksykańskiej, słusznego przedmiotu dumy całego kraju, był młody o rewolucyjnych ideałach generał Francisco Mugica, syn wielkiego nauczyciela z Michoacan, człowiek, który przestudiował sam problemy indiańskich chłopów na północy i w centrum kraju, po czym naszkicował projekt Konstytucji. Dwa ma ona najważniejsze artykuły: dwudziesty siódmy i sto dwudziesty trzeci. Pierwszy z nich określa sposób przeprowadzenia reformy rolnej i prawa własności meksykańczyków i cudzoziemców. Drugi uważany jest powszechnie za Wielką Kartę ruchu robotniczego. Mocą artykułu dwudziestego siódmego republika stawiała się właścicielem bogactw mi-

neralnych i wód na terenie kraju (woda w górzystym i nieurodzajnym Meksyku ma podobną wartość jak w Palestynie czy Egipcie). Koncesje naftowe i górnicze nabywać mogli zasadniczo tylko Meksykanie, a cudzoziemcy tylko po zrzeczeniu się opieki swych państw nad ich interesami. Artykuł sto dwudziesty trzeci legalizował związki zawodowe i prawo strajku, wprowadzał opiekę społeczną i zakazywał zatrudniania dzieci i kobiet w przemyśle. Amerykański znawca Meksyku, Eyler Simpson tak określił jego konstytucję: „Meksyk za jednym zamachem osiągnął teoretycznie to, o co wiele innych krajów musiało walczyć krok za krokiem”. Konstytucja Meksykańska powstała 5 lutego 1917, rzeczywiście przez szereg lat istniała teoretycznie tylko, zbyt wiele bowiem potęg zaatakowała równocześnie, obejmując reformą rolną dobra kościelne i wprowadzając świeckie nauczanie w całym kraju. Do wprowadzenia tych jej punktów trzeba było setek ciał wiejskich nauczycieli i instruktorów rolnych, na których trupach fanatyczni cristeros, broniący „dawnego, chrześcijańskiego porządku” wypływali krwią ofiar samosądów — Viva Cristo Rey (Niech żyje Chrystus Król). Imienia tego nie nadużyto nigdzie chyba tak jaskrawo potwornie jak w walce z Meksykańską Konstytucją.

Podstawowe punkty Konstytucji realizowano z wielkimi opóźnieniami. Gros reformy rolnej za prezydentury Cardenas w dwadzieścia lat po uchwaleniu Konstytucji, w dwadzieścia siedem — po wybuchu Rewolucji Meksykańskiej. Bezpośrednio bowiem po niej rozdzielono pomiędzy wsie tylko pół miliona akrów, za Obregona — trzy miliony, za Callesa i jego krótkotrwałych następców — szesnaście milionów, za Cardenas, uważanego przez masę za „błogosławieństwo Rewolucji Meksykańskiej”, prezydenta w latach 1934 — 1940 — czterdzieści pięć milionów akrów. W roku 1940 liberalni obserwatorzy amerykańscy uważali feudalizm agrarny w Meksyku za rzecz przebrzmiałą i głód ziemni wsi za zaspokojony w znacznym stopniu, mimo że podzielona w ciągu dwudziestu trzech lat ziemia stanowiła tylko czwartą część wielkiej własności i wciąż jeszcze koło połowy ziemi ornej w kraju należało do hacendados. Ale wszak Rewolucja nie jest jeszcze ukończona.

Z dwudziestego siódmego artykułu Konstytucji Republika mogła zrobić użytek dopiero w roku 1938, wywłaszczając zagraniczne koncesje naftowe w atmosferze wojny prawie z północnym sąsiadem. Siłę kościoła złamano po dwudziestu latach i tyleż czasu trzeba było na wprowadzenie świeckiego nauczania. Pierwsze związki zawodowe powstały w roku 1929, a ogólnokrajowa Federacja Pracy dopiero w roku 1936. „Każda dobra inowacja w Meksyku wymagała walki, wymagała gromadki męczenników — pisze Hudson Strode w książce „Timeless Mexico” — od Francisco Madero poczynając na dwustu nauczycielach ludowych, ofiarach cristaros kończąc”.

Ludzie przyglądający się zbliska Meksykańskiej Rewolucji stwierdzają (czasami bez zdziwienia uważając to za potwierdzenie bonapartystycznych skłonności, tkwiących w każdej rewolucji), że wielu z jej wodzów przechodziło z łatwością od radykalnej demokracji do archikonserwatywnej dyktatury. Specjalnie jaskrawo widać to na postaci Callesa, okrzykanego w pierwszych latach rządów nie tylko przez zainteresowanych bezpośrednio losami kraju Williama Randolpha Hearsta (ponad milion akrów posiadłości ziemskich w Meksyku) i arcybiskupa Meksyku (jeszcze więcej), ale przez miliony wiernych całego świata za „wcielenie szatana”. Calles, „boszewik” i „antychryst” był rzeczywiście w pierwszym okresie swej prezydentury radykalnym demokratą. Był pierwszym z prezydentów, który na dużą skalę rozpoczął realizację wskazań Konstytucji swego kraju. Powodem jego światowego rozgłosu było wystąpienie przeciwko politycznej sile meksykańskiego kościoła, zawarte w oświadczeniu z roku 1924, wcale łagodnie brzmiącym jak na „antychrysta”: „Jestem wrogiem duchowieństwa, które traktuje swe pozycje w świetle przywilejów społecznych, a nie w świetle służby ewangelicznej. Jestem wrogiem duchownych — polityków, którzy usiłują utrzymać nasz lud w ignorancji; duchownych, którzy w przymierzu z właścicielami ziemskimi eksploatują chłopów i w przymierzu z przemysłowcami wykorzystują robotnika. Oświadczam, że szanuję wszelkie wyznania i przekonania religijne tak długo, jak ludzie głoszący je nie mieszają się do naszych konfliktów politycznych i nie pozwalają czynić z siebie narzędzia silnych, eksploatujących słabych”. Owcześni bowiem zagraniczni wędrowcy po Meksyku opowiadają często o spotykanych po prowincji osiedlach fabrycznych w dolinach z dwoma

budynkami kościelnymi — jednym, okazałym — dla użytku właściciela włości czy fabryki, drugim, nędzną budą — dla plebsu. Opowiadają również o karabinach maszynowych, umieszczonych na sąsiednich stokach wzgórz, chroniących ową symbiozę hacendados i przemysłu z kościołem przed buntiem peonów.

Prezydent Calles nie doprowadził do końca swej kampanii, pozostawiając jej cały ciężar jednemu z następców — Cardenasowi. Calles w drugiej połowie swej kadencji zrobił niespodziewany zwrot w prawo, stając się wkrótce potem arcyprzywódcą zachowawczej dyktatury wg. wzorów Porfirio Diaza, wielkiego dyktatora Meksyku z przełomu XIX i XX wieku, który wpuścił do kraju Hearstów, Dohenych i Sinclairów.

„Nawrócenie” Callesa różnie komentowane jest przez znawców jego kraju. Ludzie, dla których Porfirio Diaz pozostał ideałem, twierdzą, że Calles utracił wiarę w możliwość realizacji demokracji i konstytucji w Meksyku. Są to ci sami ludzie, chwalczy „starego porządku”, którzy twierdzą za hacendados i kościołem, że wolność społeczna i polityczna jest niebezpieczną bronią w ręku mas indiańskich zamieszkujących płaskowzgórza Meksyku. Są to ci sami ludzie, którzy jeszcze dzisiaj twierdzą, że masy meksykańskie są biernie społecznie, ekonomicznie i politycznie jakkolwiek zaprzeczyły temu i wyniki reformy rolnej i rozwój ruchu zawodowego i wreszcie szybki awans społeczny młodego pokolenia synów chłopskich. Osiągnięcia następców Callesa, a zwłaszcza Cardenas nie pozwalają utrzymać owej tezy. Zwrot Callesa ku prawicowej dyktaturze jest jasny dopiero w zestawieniu z postacią, która była sprawcą odstępstwa prezydenta od ideałów Meksykańskiej Rewolucji. Calles został nawrócony nie przez arcybiskupa Meksyku, który toczył z nim walkę prawie do końca, nie przez arcybiskupa Ilisco, znanego z odpowiedzi „Bóg nie patrzy ze współczuciem na buntujących się przeciw swemu losowi” na hasło rzucone w roku 1920 zrozpaczonemu peonom przez Zapata, rewolucyjnego chłopca z południa: „Lepiej umierać wyprostowanym, niż żyć kłęcząc”. Calles nawrócił ambasador sąsiedniego mocarstwa, którego obywateli kontrołowali w tym momencie mimo istnienia pięknej i radykalnej Konstytucji, cały bezmała przemysł i handel zagraniczny kraju i znaczną część jego wielkich majątków. Jego początkowe ideały podjęli jego następcy. Dzieje Rewolucji Meksykańskiej, jej upadków i wzlotów związane są bardzo ściśle z dobrą czy złą wolą północnego sąsiada. Dwa najważniejsze wydarzenia Rewolucji — uchwalenie konstytucji w roku 1917 i wywłaszczenie zagranicznych koncesji naftowych w roku 1938 wypadły nie bez przyczyny na okresy, kiedy w Stanach Zjednoczonych prezydentami byli dwaj ludzie, zachowujący wobec zmagania się mas meksykańskich z ich przeciwnikami żyweliwą co najmniej neutralność. Wydarzyły się one, gdy w Białym Domu w Waszyngtonie rezydowali — marzyiciel idealista Woodrow Wilson i radykał (w amerykańskim znaczeniu tego słowa) społeczny — Franklin Delano Roosevelt. Najniższe upadki Rewolucji Meksykańskiej z nawróceniem Callesa i okresem walk domowych przed i po nim przypadają na okres republikańskich mieszkańców Białego Domu — Hardinga, Coolidge’a i Hoovera, za którymi — powierchowna znajomość dziejów USA wystarczy — widać cienie Hearstów, Dohenych i Sinclairów (możnych USA i Meksyku równocześnie). Woodrow Wilson określił zresztą jednoznacznie rolę Stanów w życiu Meksyku słowami, wypowiedzianymi w związku z kontrrewolucją Huerty z roku 1920: „obecne koncesje są korzeniami wszelkich meksykańskich kontrrewolucji”, a odzyskanie źródeł naftowych zawiązać Meksyk w równym stopniu Cardenasowi jak milczącej zgodzie F. D. Roosevelta i sztabu jego „New Dealerów”.

Meksykanicy nie są entuzjastami swego północnego sąsiada i antagonizm meksykańsko - północno amerykański, choć rzadko przybierał formę tak jaskrawą jak zbrojne najazdy bohatera Rewolucji Pancho Villa na miasteczka Texasu i New Mexico i raidy generała Pershinga po meksykańskiej Kalifornii, daje się zauważyć od pierwszej chwili przekroczenia granicy Meksyku. Jakkolwiek przykryty jest dość szczerze uniżonością wobec siły dolara i uczuciami wynikłymi z kompleksu niższości. Mimo amerykańskiej stolicy kraju i przyjęcia przez upper-class cywilizacyjnych zdobyczy USA — norte-americanos czy gringos (jak pogardliwie nazywa swych sąsiadów z północy Meksykanicy) to pojęcie, w którym połączono poczucie imperializmu gospodarczego sąsiada i krzywdy społecznej meksykańskiego peona. Od odkrycia Meksyku przez kapitał amerykański

(ciąg dalszy na str. 4-cj)

JERZY ZAGÓRSKI

Dowidzenia Bruges

Dowidzenia Bruges
Miasto z gęstego snu,
Miasto z szemrzących wód,
Miasto z cienkiego dżdżu!

Twoje wieże są jak olbrzymie kotwice,
Które na dno atmosfery rzuciły okręty gwiazd,
Albo chmur, albo słońce co z chmurami płynie.
Sto trzydzieści metrów ma niejedna.
Ale rzymski czas pamiętające ulice,
Siostry w mgłę zagubionych miast
Jak krużganki nad wodami pociętą równiną
Tylko swoją siwością sprawiają, że Wenecję przy nich nie błędną.

Bo dyskrecja i nie zaćmiewanie innych
Jest urokiem tych światów w pięknie zaklętych.
One nie każą ci zapomnieć miasta rodzinnego,
Ani jego prostych jak plamy kolorów,
Ale tu, wśród zaułków jak strumyki płynnych,
Prowadzi cie dukt logiczny choć kręty
Ku gankom zwisającym, zapleśniałym brzegom.
Wśród ulic i kanałów tych zamieszkalbyś jak wśród borów.

Bruges —
Miasto wszelkiego dostatku:
I przeszłości znakomitej
I teraźniejszości pełnej jak filiżanka z czekoladą.
Porcie oddalony od fal,
Ukryty niegdyś przed korwetą korsarza,
A dziś znów noszerza się twe kanały dla statków,
I labedzie białolite
Towarzyszą barkom, co jadą
Pod nowych mostów zwodzonych stal,
Która zda się przeszłość z dzisiejszością łączy i powtarza.

Tu w hotelu Świętego Huberta
Można spędzić twardym snem znaczoną noc,
A potem cały dzień po muzeach małych jak koperta
Portfelu, który dźwiga dolary i funty.
Najdroższe kolory świata oglądać przez powiększające szkło
I łyż nad męczeństwem Urszuli, i możliwych mieszczan bunt.

Dziś ci sami mieszczanie do tych samych pałaców
Co lat temu kilkaset, w autach jadą,
Których olbrzymie karoserie gaszą świat,
Ale wieczorem idą pieszo przez krużganki, które się tracą
W strumykach dżdżu i pod posażkami madonn
Hiszpańskich późniejszych, albo romańskich jeszcze z przed tysiąca lat.

Widziałem bazylikę Świętej Krwi — to wiele.
Zazwyczaj takie rotundy zapadają się w katedr piwnice,
Ale ta stoi jak gmach, jak wysokie labiryntu ulice,
I dopiero na piętrze ponad nią gotyk jak namiot nad madonną Michałą
[Aniela wystrzela.

Cieńką ma twarz madonna z białego marmuru,
Biała patrzy z tła czerni, a prawdziwy Jezus
Słucha przez półprzymknięte okno dzwonów chóru,
Które drżą co godzinę nad światem bez kresu.

Bo, że świat nie ma kresu, o tym dawni mistrze
Powiedzieli, na tłach swych okna półprzymknięte
Rysując, a w nich bory i łowy z tętaniem
Koni, i obłoki, i nieba złocistsze.

Czerwienie, bardziej siwe, lub bardziej niebieskie,
Niżbyś śmiał na przewidzieć, gdybyś tu nie zaszedł,
Bo piękne czytelniku bywa niebo nasze,
Lecz przy niebie Flamandii fraternalnie anielskie.

Musiał Panu Bogu pomagać, gdy czynił.
I od nich ci artyści musieli podpatrzeć,
Że nie tylko gest wielki w światowym teatrze
Znaczy coś, lecz i szczegół jest ważny w świątyni.

Nic tu nie zaniedbano, kamienia nie straca
Który na pola niesły dyluwialne mece,
Lecz każdy kamień wpręgna w olbrzymią karocę,
Jaką jest sztuka ludu wspomagana pracą.

Wielki, ludy, talenty na ten dzień szczęśliwy
Złożą się, pojmując wszystko towarzysko,
Gdyśmy łodzią płynęli przez to uroczysko
I witaly łódź mosty i wierzb miękkie grzywy.

Katedra i Ratusz w Louvin

Jar ulicy, a nad nim niebo o kolorach
Z których każdy ma zda się swój cel określony
W tej muzyce przestrzeni, której można tony
Wiszą na horyzoncie ułożonych torach.

A w tym jarze ulicy, potem ponad jarem
I wreszcie pod zenitem, gdy auto przebiega
Jakby dziesięć monstrancji, oko twe dostrzeżga
Z ażurowych kamieni ponad miastem diadem.

Pod niebo go unieśli przed wiekami ludzie
Tych miast, w których ratusze zawsze się ścigały
Z domami Pana Boga i jedynie skały
Jakie tu są, człowiek dźwignął w modlitwie i trudzie.

Musiał być trud wspaniały i wysoka wiara
Skoro jak wiolinowe wiszą w niebie klucze
Jeszcze dziś dzwonki wieżyc — choć nieraz w nie tłucze
Pociąg wojen, których kraj ten zaznał co nie miara.

Przeszły tutaj bombowce przed półtora rokiem
Które miały tym krajem przynieść wybawienie
I ruszyły z nich ognie na katedry sienie
I ratusz sławny w świecie skrzytu kurzu mrokiem.

Ale się wynurzyły z ogniska taneczne
Koronkowe zarysy, załomy i skarpy
Tak i człowiek, któremu los dzieło poszarpię
Unosi ślady dzieła w nadziei i wierze.

Więc jeśli kiedyś ognie ruszą na okręty
Tych miast, których wieżycy, Belgio, są jak maszty
Ustrzeż Panie z olbrzymich gmachów owych każdy
I ratuj małe domki ze szkła i diamentu.

18. VIII 1946.

ski do odkrycia go przez amerykańską dyplomację trzeba było czterdziestu lat i pierwszym Amerykaninem, który spostrzegł, że mieszkańcy Meksyku są także ludźmi, był właśnie Dwight Morrow, ambasador, który potrafił potem „nawrócić” Callesa. Następnego lat dziesiątka trzeba było na wynalezienie w Białym Domu pojęcia „good neighbour policy” rooseveltońskiego tworu, który funkcjonował należycie tylko przez ostatnie lata życia Prezydenta. Przeciwny, niewiele uczony, mieszkaniec Meksyku ma też dla Roosevelta więcej szacunku niż dla jakiegokolwiek innego „norte americano”, zawdzięczając mu nie samochody Chryslera i Forda i frigidare’y z Pittsburgha, ale poszanowanie godności i interesów kraju, położonego na południu od Rio Grande. Ten sam Meksykanczyk wie, że nie ma już dzisiaj wielkiego Prezydenta, ale że pozostali wszyscy jego przeciwnicy w komplecie. Jest przeto zaniepokojony o swój los zwłaszcza, że druga wojna światowa uzależniła jeszcze bardziej Meksyk od swego sąsiada. Trudności transportowe wyeliminowały zupełnie innych klientów z życia gospodarczego kraju, który stoi nie swoim zbożem, kukurydzą i owocami, a swym srebrem, miedzią, cynkiem i naftą. Meksyk pozostał sam na sam z „norte americanos”. Przeżył naprawdę w pierwszych latach wojny sztuczne ożywienie gospodarcze wskutek nieograniczonej chłonności surowcowej sąsiada, ale dzisiaj — podobnie jak Stany — a znacznie ostrzej wobec wadliwej struktury gospodarczej — przechodzi przez okres powojennych niedomagań. Peso, wielka fortuna dla meksykańskiego chłopca czy robotnika, a utamek dolara dla zagranicznego właściciela koncesji, jest wart z dnia na dzień mniej. Ludność kraju rośnie i rosną ceny żywności. Dla utrzymania produkcji rolnej potrzeba maszyn i nawozów sztucznych, a dla osiągnięcia zysków z bogactw naturalnych, potrzeba zakładów przemysłowych i sprzętu technicznego dla ich wzniesienia. Industrializacja kraju, a nie sprowadzanie z Rio Grande samo-

chodów, chłodzi i znaczków metalowych na kampanie wyborcze — to kolejne, nieuchronne stadium realizacji postulatów Rewolucji Meksykańskiej, wpisanych w Konstytucję. Zwłaszcza, gdy nie ma pewności, jakimi drogami pójdzie sąsiad z północy, czy drogą „polityki dobrosąsiedzkiej” czy drogą Hardingów i Hooverów.

Tutaj znajdują się zasadnicze podstawy dzisiejszych antagonizmów sąsiedzkich. Industrializacja kraju koliduje bowiem z interesami zagranicznych inwestorów, mających do tej pory tani surowiec i tanią siłę roboczą w kraju, którego rozwój gospodarczy i standard życiowy pozostają daleko w tyle za amerykańskim i zachodnio-europejskim. Plan industrializacji nie został przygotowany specjalnie z okazji meksykańskich wyborów, ale pracowano nad nim od kilku lat. To, dlaczego nie był realizowany powie najbezpieczniej londyński „Economist” z stycznia bieżącego roku. Cytuje on raporty Mexico Central Bank, mówiące więcej o trudnościach kraju niż rozmowy z meksykańskimi politykami. „Głównym powodem powstrzymania industrializacji kraju w roku 1944 — zdaniem Banku — była chwilowa niemożność otrzymania maszyn i narzędzi przemysłowych z zagranicy”. W rok później ten sam raport zauważył bardziej szczegółowo, „że w wielu wypadkach spostrzega się wyraźną interferencję pewnych interesów prywatnych, przeciwnych procesowi industrializacji kraju”. Interferencja ta wg „Economista” objawia się w sposób następujący: „inwestorzy zagraniczni zainteresowani są tylko kontrolą źródeł surowców i ich eksportem; inwestycje obcych kapitałów w ostatnich latach nie stwarzały w Meksyku nowych źródeł zatrudnienia, gdyż ograniczają się do wykupywania istniejących zakładów przemysłowych; uniemożliwia się przemysłowi miejscowemu nabywanie zagranicą sprzętu dla unowocześnienia produkcji; w wypadkach pokonania przez przemysł meksykański tych trudności zalewa się rynek wyrobami obcymi po cenach dumpingowych, zmuszając

miejscowy przemysł do kapitulacji; przemysł obcy żąda wreszcie wygórowanych opłat za patenty i tajemnice produkcji, zmniejszając opłacalność nowych gałęzi przemysłu meksykańskiego do zera”. Dzieje się to w momencie, kiedy ludność Meksyku rośnie, kiedy gromadzą się w okręgach rolniczych nadprodukcja sił roboczych wędruje do miast, tworząc tam dodatkowe skupiska lumpenproletariatu.

Rewolucja Meksykańska weszła w stadium, kiedy stanie w miejscu równa się szybkiemu powrotowi ku czasom Porfirio Diaza — w wypadku, jeśli nie uda się zindustrializować kraju. Masowe bezrobocie i obniżenie stopy życiowej mas zanulować może również zanulowane nie tylko przez nadmiar bezproduktywnej ludności wiejskiej, ale ponieważ uzyskanie nowych terenów rolnych zależy od powstania przemysłu produkującego sprzęt rolniczy i umożliwiającego dalsze nawodnienie kraju. Rewolucja Meksykańska, która wyszła przed kilkunastu laty ze stadium walk zbrojnych między generałami stała się, bo stać się musiała, rewolucją techniczno-gospodarczą, stwarzającą automatycznie problemy dla jej realizatorów. Fakt, że uświadamiają to sobie masy zwolenników Alemána jest dowodem, że pierwsze fazy rewolucji spełniły funkcje wychowawcze wbrew opinii mego angielskiego rozmówcy. Front alemanistów od komunistów do postępowych przemysłowców meksykańskich jest dowodem, że praca Madero, Callesa, Cardenas i mniejszych realizatorów Rewolucji nie była bezskuteczna, tak jak nie okazało się bezskuteczne zakładanie przez lata szkół wiejskich między Kalifornią i Yukatanem.

Wydać się, że dzisiejszy Meksyk różni się od przedrewolucyjnego nie tyle neonami, samochodami i luksusowymi hotelami, naśladującymi New York w Mexico City, a tym, że w Meksyku właśnie odbyły się niedawno pod auspicjami Alemána konferencje postępowych przemysłowców z

związkami zawodowymi w sprawie industrializacji kraju i tym, że masy meksykańskie popierają właśnie Alemána, a nie Ezequieła Padilla, który pragnąłby dać wolną rękę obcemu kapitałowi w imię „amerykańskiej wspólnoty”, a haciendados i kościółowi — w imię „starych meksykańskich tradycji”. Neony, limuzyny i nowoczesne hotele istnieją także w wielu stolicach Ameryki Łacińskiej i Południowej, gdzie poza tym panują stosunki społeczne i gospodarcze identyczne jak w Meksyku Porfirio Diaza.

Nieukończona Meksykańska Rewolucja trwa. Jest trudna do przeprowadzenia w cieniu sąsiada z Rio Grande, który rzadko bywa okiełznany przez ludzi typu i formatu Franklina Roosevelta, i który stał się powodem powiedzenia, powtarzanego z westchnieniami przez wielu sprawiedliwych: „Poor Mexico, so far from God, so near to the United States (Biedny Meksyk, tak daleko odeń do Boga, tak blisko do Stanów Zjednoczonych)”. Jest trudna do zrealizowania wskutek „owych starych meksykańskich tradycji” — aliansów haciendados i cristeros w nowym synarchistycznym przebraniu. Jej pełen zakrętów bieg wyznaczała walka obfita w ustępstwa na rzecz owych sił. Ale te kapitulacje nie były równoznaczne nigdy z ostateczną przegraną. Były tylko dowodem trudności.

Po ulicach Mexico City chodzą tłumy alemanistów i padlistów z znaczkami swych przywódców w kłapach marynarek. Wynik wyborów nie ulega wątpliwości, Aleman ma bowiem za sobą masę. Warto byłoby zjawic się tutaj za sześć lat podczas następnych wyborów, aby dowiedzieć się, czy znaczki z portretem następnego kandydata na prezydenta będą już produkowane na miejscu w kraju, czy wciąż jeszcze u Greenducka w Chicago. Ten drobniarz powie, czy Aleman wygrał swoją rundę walki o Rewolucję, która skłóca mu swoje losy w ręce w gorący dzień lipcowy roku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego.

Mieczysław Wionczek

GALEAZZO CIANO

Przełożyła i wybrała Julia Hartwig

PAMIĘTNIK POLITYCZNY 1939-43 (II)

6 marca

Wczoraj wieczorem u Colonny telefon od Pietromarchi'ego¹⁾, który donosi mi o powstaniu w Katalonii i o ucieczce czerwonej floty. Franco prosi o pomoc naszego lotnictwa, aby odnaleźć 11 statków jadących po Morzu Śródziemnym i przeszkodzić im w przekroczeniu Kanału Sycylijskiego w razie, gdyby miały zamiar skierować się do Odessy. Wydałem odpowiednie instrukcje marynarce i lotnictwu i rano o godz. 8-ej złożyłem raport Duce, który potwierdził te zarządzenia. W czasie dnia położenie floty zostało oznaczone; chciała zawinąć do portu Algierskiego, lecz odmówiono jej wjazdu. Zdaje się, że uda się teraz do Bizerty...

15 marca

W nocy zachodzą wypadki coraz bardziej nagłe. Po spotkaniu Hitler — Hacha — Chwałkowski oddziały niemieckie zaczynają zajmować Czechy. To już sprawa poważna, tym bardziej, że Hitler zapewniał, że nigdy nie użyje przemocy wobec żadnego Czecha. Interwencja niemiecka nie niszczy Czechosłowacji wersalskiej, lecz tę, którą utworzono w Monachium i Wiedniu. Jakież znaczenie będzie można przywiązywać w przyszłości do zobowiązań i przysiężek, dotyczących nas bezpośrednio. Nie sposób ukryć, jak bardzo to wszystko obchodzi i upokarza naród włoski.

Dlatego właśnie trzeba mu dać satysfakcję i odszkodowanie: Albanie. Powiedziałem o tym Duce, z którym podzieliłem się przeświadczeniem, że obecnie nie znajdujemy ani miejscowych przeszkód, ani poważnych trudności międzynarodowych, które uniemożliwiłyby wykonanie naszego projektu. Upoważnia mnie do zatelefonowania do Jacomoni'ego²⁾, aby przygotował pierwsze sporadyczne wybuchy buntu, a sam nakazuje osobiście Marynarce trzymać drugą eskadrę gotową w Tarencie.

„W międzyczasie przybywa Hesse ze zwykłym posłannictwem. Tym razem jest ono zbyt werbalne i niezadawalające. Führer każe nam donieść, że podjął inicjatywę, ponieważ Czesi nie chcieli się zdembilizować, utrzymywali w dalszym ciągu stosunki z Rosją i źle traktowali Niemców. Te preteksty są może dobre dla propagandy Goebbelsa, lecz nie powinny być użyte wobec nas. Popelniliśmy ten błąd, że byliśmy zbyt lojalni w stosunku do Niemiec. Przekazując podziękowanie Führerowi za niezawodne oparcie we Włoszech Hesse³⁾ doradza, że dzięki temu posunięciu, 20 dywizji zostało uwolnionych i mogą one być użyte w innej strefie dla pod-

trzymania polityki Osi. Lecz równocześnie Hitler ostrzega Mussoliniego, że jeśli ten ma zamiar rozpocząć akcję na wielką skalę byłoby lepiej zaczekać rok czy dwa, aby miał do dyspozycji 100 dywizji pruskich. Mogłoby sobie oszczędzić tego dodatku. Duce reaguje natychmiast, zapewniając, że w wypadku wojny z Francją, będziemy się bili sami, nie żądając ani jednego człowieka od Niemiec, lecz będziemy wdzięczni za możliwość otrzymania broni i innych wyposażań wojennych.

Powracam do Duce po wyjeździe Hesse'go. Niezadowolony jest z poselstwa i przybyty. Nie chce dopuścić do prasy wiadomości o odwiedzinach Hessego („Włosi drwiliby ze mnie: za każdym razem, gdy Hitler zagarnia jakiś kraj, przysyła mi poselstwo“).

Duce mówi na nowo o Albanii, lecz nie powziął żadnej decyzji na temat działań. Nurtuje go niepokój, którym nie dzieli się jeszcze ze mną. Jest chłodny jak zawsze w poważnych sytuacjach, lecz nie przyjął jeszcze, przynajmniej chwilowo, postawy jakiejś spodziewanej się po nim. Chee, że bym powrócił wieczorem.

Rozmowa z ambasadorem Polski i ministrem Rumunii, którzy zachowują się z godnością wobec faktu dokonanego.

Odwiedzam znów Duce późnym wieczorem. Zdaje sobie sprawę z wrogiej reakcji narodu włoskiego, ale twierdzi, że trzeba odtać robić dobrą minę do złej gry niemieckiej i unikać tego, by: „nie podobać się Bogu, równie jak jego nieprzyjaciółom“.

Robi jeszcze aluzję do możliwości uderzenia na Albanie, ale wciąż jest niezdecydowany. Zajęcie Albanii nie mogłoby według jego zdania, zrównoważyć w opinii publicznej wcielenia do Rzeszy jednego z najbogatszych terytoriów, jaki stanowi Rumunia. Muszę się z tym oświadczyć, że nie zrobimy żadnego posunięcia. Tym bardziej, że Duce, który przyjmował przede mną admirała Cavagnari⁴⁾ zadowolony jest postawieniem mu kilku pytań o charakterze ogólnym, dotyczącym możliwości wyładowania, lecz nie wydał mi żadnych poleceń. A szkoda! Według mego zdania zajęcie Albanii podniosłoby naród moralnie, ponieważ ukazałoby istotne owoce polityki Osi. Po ich zebraniu moglibyśmy powtórnie zbadać naszą politykę, również ze względu na Niemcy, których hegemonia zaczyna przybierać niepokojące rozmiary.

16 marca

„Przyjmuje von Mackensena⁵⁾. Spokojnym tonem składam mu gratulację z po-

wodu wyników niemieckich. Nie usiłuje powstrzymać gestu zdumienia. Tym razem Niemcy czują rzeczywistość, że przebrali miarę. Spotykam się z ambasadorem Japonii, który mówi mi z optymizmem o postanowieniach swego narodu w sprawie aliansu trzech.

18 marca

„Wypadki ostatnich dni zmieniły mój sąd o führerze i Niemcach; on również jest nielojalny i perfidny; żadna polityka nie jest z nim możliwa. Od dziś staram się wywrzeć wpływ na Duce, aby popchnął go do zdecydowania się na układ z mocarstwami zachodnimi. Ale czy w Paryżu okażą minimum zdrowego sensu, czy też skompromitują raz jeszcze możliwości ententy, dając zwykły dowód małoduszności. Duce uważa, że tym razem wzbudzenie pośród Anglików jest bardzo głębokie: „Nie trzeba zapominać, że Anglicy są czytelnikami Biblii i łączą fanatyzm handlowy z miśstycznością. Teraz panuje ten ostatni, są w usposobieniu odpowiednim do działania“.

Wysyłam Fagioli'ego⁶⁾ do Paryża, by podjął znów rokowania z Beaudouin'em⁷⁾. Duce ma zamiar wyszczególnić nasze żądania w mowie 26 marca: Dżibuti, Suez, Tunis.

31 marca

„Wienawiata⁸⁾ mówi o stosunkach niemiecko-polskich. Polacy pragną pokojowego rozwiązania, ale jeśli Niemcy przyjmą stałą nieprzejednaną taktykę, Polacy będą się bili. Wienawiata wyraża się optymistycznie o możliwościach oporu armii polskiej.

6 kwietnia

„Z administracji telegrafów sygnalizują nam, że długie szyfrowane wiadomości odchodzą z Tirany do Foreign Office. Nie możemy ich zatrzymać, ale wydaję polecenie opóźniania ich i wprowadzenia licznych błędów do przenoszonych cyfr. Trzeba zaoszczędzić czasu, tym bardziej, że Chamberlain podał w Izbie Gmin bardzo korzystną dla nas wersję wydarzeń i oświadczył, że Wielka Brytania nie ma specjalnych interesów w Albanii.

„Przyjazd Goeringa. Witam go na dworcu i towarzyszę mu do Villa Madama. W czasie drogi mówi z wielką emfazą o położeniu Osi, i rzuca gwałtowne słowa pod adresem Polski.

16 kwietnia

„Najbardziej uderzył mnie w rozmowach z Goeringiem ton, jakim mówił o stosunkach z Polską: to mi przypominało szczególnie ton, jakiego użył niegdyś w Niemczech wspominając o Austrii i Czechosłowacji. Zresztą Niemcy mylą się, są-

dzając, że będą mogli działać w ten sam sposób: Polacy będą pobici, lecz nie złożą broni aż zostaną ostatecznie zwyciężeni.

17 kwietnia

„Towarzysze Goeringowi na dworzec. Jest zadowolony z pobytu w Rzymie, gdzie udało mu się nawiązać kontakt z Duce i ze mną. Odnosiłem na ogół wrażenie, że nawet w Niemczech zamiary są pokojowe. Tylko jedno niebezpieczeństwo: Polska. Mniej o tym świadczą zwroty, co pogardliwy ton używany na wspomnienie o Warszawie. Ton, który mnie zaskoczył. Niech Niemcy nie wyobrażają sobie, że również przez Polskę urządzają marsz triumfalny: zaatakowani Polacy będą się bronić. Duce jest również tego zdania.

20 lipca

Więści przysyłane przez Attolico⁹⁾ są stale niepokojące. Niemcy przygotowują według niego na 14 sierpnia zamach na Gdańsk, i po raz pierwszy Caruso¹⁰⁾ donosi z Pragi o niepokojących ruchach wojsk. Czy możliwe, by to wszystko dokonało się bez powiadomienia nas, szczególnie po tylu pokojowych zapewnieniach, jakie złożyli nam towarzysze z Osi? Zobaczymy...

11 sierpnia

Odtworzyłem przebieg rozmów z Ribbentropem i Hitlerem w Księdze Rozmów. Tu opiszę tylko kilka ogólnych wrażeń.

Ribbentrop uchyla się, ilekroć pytam o szczegóły dotyczące bezpośrednich planów Niemiec. Nie ma czystego sumienia; kłamał zbyt często na temat zamiarów niemieckich wobec Polski, by teraz swobodnie powiedzieć mi o tym, do czego się przygotowuje. W sposób nieprzejednany pragnie rozpoczęcia wojny. Odrzuca wszelkie rozwiązania zdolne zaspokoić Niemcy i przyczynić się równocześnie do uniknięcia konfliktu zbrojnego.

Jestem pewien, że gdyby nawet dano Niemcom więcej, niż żądają, zaatakowali by jednak, ponieważ opanowali ich demon zniszczenia.

Rozmowa nasza przyjmuje czasem obrót dramatyczny. Nie waham się wyrazić najsłabiej w sposób brutalny. Wcale go to nie wzrusza. Stopniowo zdaje sobie sprawę z tego, co przedstawiamy w oczach Niemców. Atmosfera jest chłodna i chłód ten towarzyszy nam już do końca. Podczas obiadu nie wymieniamy ani słowa. Nie do wierzymy sobie. Ale ja przynajmniej mam spokojne sumienie. On nie.

12 sierpnia

Hitler jest serdeczny, ale on również jest niewzruszony i nienalagany w swoim postanowieniu. Mówi stojąc, w wielkim

salonie w swoim domu, przed stołem, na którym leży wiele map. Daje dowody rzeczywistości głębokiej wiedzy wojskowej; mówi dużo i spokojnie i nie rozgrzewa się nawet, gdy radzi nam możliwie najszybciej zadać cios Jugosławii.

Dochodzę do wniosku, że nie można tu już zaradzić. Postanowił uderzyć i uderzył. Nasze argumenty nie powstrzymują go z pewnością. Powtarza przez cały czas, że jest pewien, iż uda mu się zlokalizować konflikt w Polsce. Jednak, gdy dorzuca, że wielka wojna powinna wybuchnąć, gdy Duce i on są jeszcze młodzi, stwierdzam raz jeszcze, że jest nieuczciwy. Dla Duce ma słowa niezwykle pochlebne, ale słucha z roztargnieniem i bez zainteresowania, co mówię o nieszczeniach jakie wojna ściągnie na lud włoski.

Czuje, że przyjaźń z Włochami znaczą tylko tyle, ile znaczą nasze siły zbrojne, które mogą odciążyć ich front. Nic więcej. Nasz los ich nie obchodzi. Wiedzą, że o wyniku wojny zdecydują oni, nie my. Po uderzeniu obiecują nam jasnemu.

31 sierpnia

Przykre przebudzenie. Attolico telegrafuje około 9-ej, że sytuacja jest rozpaczliwa i jeśli nie zajdą nowe zdarzenia wojna wybuchnie w ciągu kilku godzin.

Udaje się natychmiast do Pałacu Weneckiego. Trzeba stworzyć te nowe zdarzenia. Za zgodą Duce telefonuję do Lorda Halifax aby mu powiedzieć, że Mussolini może interwenjować u Hitlera tylko pod tym warunkiem, że będzie mógł mu przybiec do Gdańsk. Nie może niczego żądać z pustymi rękami. Ze swej strony Lord Halifax prosi mnie o wywarcie nacisku na Berlin, by pominięto pewne trudności proceduralne i ułożono wreszcie bezpośrednie porozumienie między Niemcami i Polską. Telefonuję w tej sprawie do Attolico, który jest co raz bardziej pesymistycznie nastrojony.

Wkrótce potem Halifax donosi mi, że nasze sugestie dotyczące Gdańska są niewykonalne. Horyzont zaciemnia się co raz bardziej.

Przyjmuje François Poncet¹⁾. Rozmowa bez określonego tematu. Wyrażamy raz jeszcze pokojowe chęci. Pragnie się dowiedzieć jakie będą wytyczne naszego zachowania, ale nie odpowiadam. Jest romantyczny, smutny i pełen nostalgii. Dodałbym jeszcze — szczerzy.

Znow spotkanie z Duce. Ostatnia próba: zaproponować Francji i Anglii konferencję na 5 września w celu zrewidowania ustępów Traktatu Wersalskiego, które są powodem obecnego niepokoju w Europie. Gorąco popieram ten projekt, choćby poto, by pogłębić przepaść między nami i Hitlerem, który nie chce konferencji, jak już niejednokrotnie mówił.

François-Poncet przyjmuje projekt z zadowoleniem i odrobiną sceptycyzmu. Percy-Lorraine²⁾ jest pełen entuzjazmu, Halifax przychylny, ale zachowuje rezerwę do chwili porozumienia się z Chamberlainem. Polecam śpieszną odpowiedź, ponieważ czas nagli. Ale czas schodzi bez żadnej wieści. O 20-ej minut 20 administracja telefonów informuje nas, że Londyn zerwał telefoniczne połączenie z Włochami. Oto skutki sposobu postępowania przyjętego w ostatnich dniach.

Udaje się do Duce, aby zdać mu z tego sprawę. Wywarło to na nim wrażenie. „Wojna — powiedział; ale jutro złożę w Radzie oświadczenie, że my nie ruszymy”. Jutro, to zbyt późno. Być może Anglicy i Francuzi wykonają jakieś posunięcie, które uniemożliwi takie oświadczenie. Proponuję wezwać Percy-Lorraine'a, popełnić nie-

dyskrecję. Jeśli ten wywoła skandal, będę „spalony”, ale przynajmniej uratuje się sytuację. Duce zgadza się. Percy Lorraine przybywa. Opowiadam mu co zaszło; potem jakbym nie mógł powstrzymać okrzyku serca, mówię: „Dlaczego więc chcecie stworzyć sytuację nie do naprawienia. Czyż jeszcze nie zrozumiał Pan, że nigdy nie podejmujemy inicjatywy walki przeciw wam, czy Francji”. Percy Lorraine wzruszony, z oczami pełnymi łez chwytą mnie za ręce: Przed 15 dniami zdałem sobie z tego sprawę i zatelegrafowałem o tym do mojego rządu. Ale ostatnie dni zachwiały moje zaufanie. Cieszę się niezmiernie, że przybyłem tego wieczora do Pałacu Chigi³⁾. Ścisnąwszy mi raz jeszcze ręce, wyszedł szczęśliwy. Donoszę o tym telefonicznie Duce, który w międzyczasie kazał zapalić światła w mieście dla zmniejszenia niepokoju.

Z Berlina otrzymujemy komunikat niemiecki zawierający zdarzenia ostatnich dni, również propozycje postawione Polsce. Są one bardzo umiarkowane, ale jest coś niejasnego w zachowaniu się Niemców. Propozycje są postawione dobrze i pięknie, ale zostają przedawnione już z chwilą postawienia. Zresztą wszelka dyskusja jest zbyteczna: program Hitlera, który mi podano do wiadomości w Berghof, dokonuje się dokładnie punkt po punkcie.

Atak ma się rozpocząć tej nocy, ponieważ 31 sierpnia jest oznaczony w komunikacie niemieckim jako ostatni termin dla ewentualnych rokowań. Chociaż Duce sądzi, że można jeszcze dyskutować. Nie sądzę. Komunikat niemiecki jest dla mnie dźwiękiem rogu, zapowiadającym wojnę.

O północy Magistrati donosi, że w Berlinie rozdają bezpłatnie dzienniki noszące tytuł: „POLSKA ODMÓWIŁA. ATAK SIĘ ROZPOCZYNA”. Rzeczywiście zaczyna się o 5 min. 25. Wieść tę zakomunikował mi minister Alfieri, a tuż potem Duce, który mnie wzywa do Pałacu Weneckiego.

17 stycznia 1940 r.

Dziś przeżywając zwykłą odmianę uczuć, Mussolini usposobiony jest raczej wrogo do Niemiec. Mówi: „Zrobiliby dobrze pozwalając, bym ich prowadził, jeśli chcą u-

niknąć niepowetowanych gaff. Nie ulega dyskusji, że w polityce jestem inteligentniejszy niż Hitler”. Nie zdaje mi się, by kanclerz Rzeszy okazał nam, że jest również tego zdania.

29 stycznia 1940 r.

„Skoro jakiś naród opanowany jest instynktem życia wegetatywnego, jest tylko jeden środek ocalenia go: użyć siły. Ci nawet, którzy zostaną uderzeni okazy się wdzięczni, ponieważ ciosy, które na nich spadną powstrzymają ich od upadku w przepaść, do której pchał ich strach. Czy widziałeś żeby jagnię zamienilo się w wilka? Rasa włoska jest rasą baranów. Osiemnaście lat nie wystarczy na przetworzenie jej. Trzeba by na to 180 lat lub 180 stuleci”. (Mussolini).

28 lutego

Wczoraj Duce powiedział w ciągu raportu do Anfuso: we Włoszech są jeszcze głupcy i kryminaliści, którzy sądzą, że Niemcy będą pobite; ja mówię, że Niemcy zwyciężą.

6 marca

Duce mówi mi o ewentualnym eksporcie dzieł sztuki. Zapatrjuje się na to przychylnie; ja nie. Nie lubi przedmiotów sztuki, a szczególnie pogardza okresem historii, który stworzył nasze arcydzieła. Pamięta — ja sobie również przypominam, — uczucie nudy i fizycznego zmęczenia, nieznanego u niego, jakie odczuwał pewnego dnia, gdy musiał towarzyszyć Hitlerowi w czasie szczegółowego zwiedzania pałacu Pittich.

18 marca

Na Brennerze pada śnieg. Mussolini oczekuje swego gościa z uczuciem radości pomieszanych z bojaźnią. W ostatnich czasach coraz bardziej poddaje się urokowi Hitlera: sukcesy wojskowe, jedyne jakie ceni teraz i jakich pragnie Mussolini — są tego przyczyną. W czasie oczekiwania opowiada mi, że tej nocy śniło mu się, że „rozdarł zasłonę przyszłości”. Lecz nie mówi co to był za sen. Opowiada mi za to, że przeżył już pewne doświadczenie tego rodzaju, śniąc, że przeszedł w bród rzekę. Zrozumiał wtedy, że problem Fiume bliski był rozwiązania¹³⁾.

STANISŁAW BRUCZ

Wieża bez frontu^{*)}



Stanisław Pięta

„kartce historii” autor spleca trybut aktualności politycznej, ale w ten sposób tracący propagandowy pensum. Na ogół wieś wynurza się z okupacji bezkształtna społecznie, podmiowana deprawacją, stronią i bierną w obliczu wydarzeń. Jest to wieś bez frontu.

Pięta należy, niewątpliwie, do tej klasy pisarzy, którzy starają się pokazać życie „takim, jakim ono jest”. Otóż, wbrew temu co sądzą niektórzy, metoda ta nie koniecznie prowadzi do pesymizmu. Utwór na tej metodzie oparty może być optymistyczny — 1) jeśli będzie artystycznie celnym pokonaniem opornego materiału, co zawsze jest źródłem otuchy i pocieszenia, 2) jeśli będzie osuty wokół idei kompozycyjnej, która implikuje określony pogląd na świat. Niestety, „Front nad Wisłą” nie czyni zadość tym warunkom. Jest to bowiem zbiór szkiców quasi — impresjonistycznych, niedbale zbudowanych, chwilami zatracających o ponurą anegdotę („Ostrzyżona”, „Niedola”), chwilami rozwickłych i uwikłanych w daremną opisowość („Front nad Wisłą”). Odnosi się wrażenie, że są to notat-

8 czerwca

Duce śledzi również rozwój walk i zadowolony jest z oporu Francuzów, „ponieważ Niemcy zużywają się w ten sposób i nie staną się przy końcu wojny zbyt świeży i potężni”.

18 — 19 czerwca

„Mussolini jest wyraźnie przygnębiony. Zdaje sobie sprawę, że odgrywa tylko drugorzędą rolę. Opowiada mi o spotkaniu z Hitlerem nie bez gorzkości i ironii i dochodzi do wniosku, że naród niemiecki nosi już w sobie zarody klęski i jeden znaczny wstrząs wewnętrzny może zniszczyć wszystko. W rzeczywistości Duce obawia się, że pokój jest daleki i widzi, że raz jeszcze umyka mu to, co było zawsze niezrealizowanym jego marzeniem: chwala na polu walki.

11 grudnia

Pada śnieg. Duce patrzy przez okno i cieszy się ze śniegu: „ten śnieg i zimno są wspaniałe, w ten sposób słabe chłopaki narażone są na śmierć i przeciętna rasa włoska poprawi się. Jedną z zasadniczych przyczyn, dla których chciałem zaleśnić Półwysep Apenin była chęć stworzenia chłodniejszej i bardziej śnieżnej Italii”.

tłum. Julia Hartwig

¹⁾ wice-minister Spraw Zagranicznych w Rzymie.

²⁾ ambasador włoski w Albanii od 1936 do 1939 r.

³⁾ książę Filip de Hesse, zięć króla Wiktora-Emanuela III, S. A. Obergruppenführer.

⁴⁾ admirał, podsekretarz stanu i dowódca marynarki od 1936 — 1940.

⁵⁾ ambasador Niemiec we Włoszech od 1938 r.

⁶⁾ prof. ekonomii politycznej, wysłany za granicę przez rząd włoski w randze ministra dla załatwienia spraw handlowych.

⁷⁾ bankier.

⁸⁾ ambasador Polski w Rzymie.

⁹⁾ ambasador włoski w Berlinie 1935 — 1940.

¹⁰⁾ generalny konsul włoski w Pradze.

¹¹⁾ ambasador francuski w Rzymie w latach 1938 — 1940.

¹²⁾ ambasador angielski w Rzymie.

¹³⁾ gra słów między nazwą miasta Fiume i słowem „fiume” — rzeka.

**AKADEMIA
HANDLOWA
W POZNANIU**

Absolwenci Akademii Handlowej

którzy uzyskali dyplom w latach 1926 — 1946 proszeni są w celach rejestracji i zrekonstruowania zniszczonych akt o nadesłanie do Sekretariatu Akademii Handlowej następujących danych: imię i nazwisko, data i miejsce urodzenia, numer i data wydania dyplomu, zajmowane obecnie stanowisko, dokładny adres.

*) Stanisław Pięta „Front nad Wisłą”. Sp. Wyd. „Czytelnik”, 1946.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

BATERIA

Fragment z książki p. t. „Bateria została”, która ukaże się niebawem nakładem „Księgarni Ludowej” w Łodzi.

I.

Ranek dnia 18 września wstał mglisty i łzawy. Zaczynał się nowy dzień, lecz dla nas nie oznaczało to jakiegokolwiek zmiany. Niczego nie kończyło i niczego nie zaczynało. Noc, dzień, znowu noc, były to pory, które właściwie nie wiadomo po co następowały po sobie. Byliśmy bowiem zagubieni tak gruntownie w czasie, że wydawało się nam, jakoby czas stanął i nie posuwał się dalej, a nasz daremny marsz, który odbywał się w miejscu będzie już tak trwał bez końca. Wrażenie zagubienia potęgowała ciąгла obecność lasu. Zanurzyliśmy się weń wieczorem, wlekliśmy się w jego cieniu przez całą noc, a oto zrobił się nowy dzień i my w dalszym ciągu jeszcze w nim tkwieliśmy.

Był dzień, lecz my nie wiedzieliśmy, jaki to dzień, był świat, ale gdzie było nasze miejsce na tym świecie? W którym kierunku był nasz dom? Gdzie był nieprzyjaciół i gdzie ów Modlin, czy też Warszawa, do której dążyliśmy? Czuliśmy się jak kot, którego wywieziono z worku daleko od domu i wypuszczono w jakiejś nieznanej okolicy na zatracenie.

Wszakże światło dzienne wpłynęło uśpakajając na nasz stan psychiczny. Możliwość posilkowania się wzrokiem, możliwość widzenia przedmiotów takimi, jakimi były naprawdę, bez ponurej tajemniczości, dawała wiary. Już nie trzeba było się obawiać złudnych koszmarów nocy. Dzień wzmacniał pewność siebie i przybierał sytuację w realniejsze kształty.

Znajdowałem się narówni z innymi pod działaniem tych nastrojów, które wyraźnie wzmogły moją aktywność. Bateria włożyła się jakoś do tempa marszowego tak, że smutne nawoływania od pewnego czasu ustały. Odważyłem się zrobić przegląd. W tym celu stanąłem między drzewami i obserwowałem przejeżdżające zaprzęgi, pokrzykując do jeźdźców z podrabianą dziarskością. Konie postępowały mechanicznie noga za nogą. Słaby pobrząk oku uprzedził świadcząc o ich ruchu. Przemoczona i zlepiąca długa sierść upodobała je do dużych wiechci słomy. Były to szkapki mizerne i zamęczone. Lecz spełniały jeszcze swoje zadanie. W czasie marszu zatracił się nieco porządek, działony były pomieszane, między zaprzęgami artyleryjskimi szły wozy, ale czyż to nie było w rzeczy samej obojętne dla samego posuwania się. Uczulem coś w rodzaju satysfakcji.

Nieoczekiwanie zjawił się dowódca dywizjonu. Złożyłem odpowiedni meldunek i przyjąłem w zamian kilka uwag, odnoszących się do porządku marszowego. Pozostawiony przez pełną dobę sam sobie, poczułem się w tej chwili jak ujeżdżony koń, którego po okresie wolności wzięto na widzielo. Zająłem się zaraz w myśl wskazań uporządkowaniem baterii.

Po chwili ujrzałem również porucznika Siklowskiego ze sztabu pułku, a niemal bezpośrednio potem ukazał się adiutant pułkowy kpt. Taczanowski.

— A doskonale się spisałeś — rzekł do mnie na powitanie. Słyszeliśmy, jak twoja bateria strzelała nad Bzurą.

— Tak?

— Zdaje się, że tylko ty prowadziłeś ogień. Pułkownik jest bardzo zadowolony.

Ta niewątpliwa pochwała polecała mnie po sercu. Upewniałem się coraz bardziej, że bateria była ośrodkiem zainteresowania, tak jak poprzedniego wieczora była ośrodkiem, do którego ściągali różni rozbitkowie.

II.

Aby zrozumieć, dlaczego wypadki w następnych kilku godzinach potoczyły się tak, a nie inaczej, należy zatrzymać się na chwilę na pewnych rozważaniach, które nam uzmysłowią nasz narodowy temperament czy charakter, co zresztą na jedno wychodzi w odniesieniu do walki orężnej. Każdy naród stara się tak przedstawić swoją przeszłość wojenną, aby wykazać jej głęboką ideę w ogólnoludzkim dorobku cywilizacyjnym. Nie trzeba zbyt wielu argumentów, aby dowiedzieć, że nasze walki w ciągu ostatnich wieków były przepojone ideą wielką i słuszną, jak słuszną i wielką jest zawsze sprawa wolności narodu.

W tych walkach zawsze nierównych, a często beznadziejnych — kształtował się nasz narodowy typ bohatera, różny od bohaterów innych narodów.

Nie był to zwycięzca, lecz buntownik, powstaniec, a często zesłaniec.

Czas, kiedy nasza ziemia wydawała zwycięzców, minęła już dawno. Tak dawno, że ile razy chcemy przytoczyć jakiś wspaniały przykład czynu naszego oręza w skali dziejowej, musimy sięgać aż do Grunwaldu lub Psiego Pola. Ani klasyczne zwycięstwa pod Kircholmem czy Kluszyńcem, ani wiktoria króla Jana pod Wiedniem poza wiekopomnym rozprężeniem sławy naszego oręza nie dały się z tych czy innych powodów konkretnie wykorzystać dla naszego dobra. Bezpośrednio bowiem po tych sukcesach musieliśmy staczać długie, beznadziejne walki obronne, wysysające i tak słabe nasze zasoby wojska i skarbu.

Dopiero jednak po utracie niepodległości walki te nabrały swego posmaku ofiary. Półtora wiekowa tradycja zmagania z najeźdźcą ubrała je w zaszczytną szatę poświęcenia. Bo też w istocie były one poświęceniem — poświęceniem własnego życia, wolności, mienia. Wypluwało to stąd, że spotykaliśmy zawsze naprzeciwko siebie przewagę, o którą każdy ruch powstańcy musiał się rozbić, co w rezultacie zamiast doprowadzić do wolności, powodowało tym silniejsze zaciśnięcie pęt zaborców.

Te smutne i coraz smutniejsze doświadczenia wytworzyły charakterystyczny nam, nie wspólny z logiką nie mający sposób podejścia do sprawy wojowania. W poezji streszczał się on w wzniosłym wezwaniu wieszczą: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił” — w praktyce żołnierskiej oznaczało to bić wroga, czym popadło, o resztę nie dbać.

Były to następstwa tego, że wszelkie rachuby ilości wojska, armat, karabinów wypadły zawsze na naszą niekorzyść. Wobec tego do preliminarza bitewnego należało wstawić każdorazowo pozycję, która miała wyrównać tamte braki. Miał to być męstwo, pogarda śmierci i zaciekleść. Toteż każdy z powstańców, czy to w kontuszu, czy w sukmanie wiedział, że wygnać wroga można, ale trzeba mu dostać się do gardła i to prosto bez żadnej specjalnej sztuki.

Żołnierz dopiero wtedy czuł, że walczy, gdy zobaczył wroga na własne oczy i mógł z okrzykiem „hurra” wyskoczyć nań z bagnietem w garści. To była cała nasza taktyka zaczepna, jakże dalece różna od niemieckiej taktyki systematycznego miażdżenia, angielskiej metodyczności w planowaniu, błyskotliwej kombinacji francuskiej. Jest ona tak z naszym charakterem narodowym zespółona, że nikt z nas nie wyobrażał sobie żołnierza polskiego posuwającego się w cieniu czołga, czy samolotu.

Ośmielię się więcej powiedzieć. Nikt w całym społeczeństwie nie zechciałby uznać bohaterskiej naszej armii, która by w podobny sposób, jak Niemcy nas, zawojuwała z minimalnym wysiłkiem jakiś inny kraj. Zdaje się, że wtedy w miejsce podziwu dla własnej armii, zrodziłoby się raczej współczucie dla pokonanego w tak nierównej walce. Po prostu dla nas walka ofiarna, krwawa i beznadziejna jest jakoś sympatyczniejsza i bliższa, niż walka zwycięska, jakkolwiek czujemy dobrze, jak upajający musi być smak zwycięstwa.

W puszczy kaminowskiej można było dnia 18 września ujrzyć niejako kopię walki powstańczej, prostej w konstrukcji, krwawej w ofiary i bezowocnej w skutkach. W walce tej nasz żołnierz był więcej podobny do powstańca spod Maciejowic, Ostrołęki, czy Krzywopłotów, niżbyśmy temu chcieli dać wiary. Dowódcy przypominali bardziej niewykwalifikowanych wasmościów, niż zaopatrzonych w garnitur nowoczesnej doktryny pułkowników i majorów.

III.

Dzień się rozjaśnił zupełnie, lecz mgła nie ustąpiła na tyle, aby mógł zagrażać atak z powietrza. Toteż dowódca dywizjonu nakazał mi czynić wszystko, aby przyspieszyć marsz i dojść do celu, zanim rozpocznie się operacja lotnictwa. Jednak wkrótce stanął temu na przeszkodzie kategoryczny sprzeciw oddziałów pieszych, podążających za nami.

Podpułkownik łączności, dowódca tych mieszanych oddziałów zażądał zatrzymania baterii, aby w myśl wskazań regulaminu zorganizować marsz ubezpieczeniowy, w którym piechota posuwałaby się przed artylerią. Dowódca dywizjonu mając na względzie przytoczone wyżej racje, nie chciał puszczać przed siebie piechoty pri-

mo: aby nie tracić czasu, zanim ta minie baterię, secundo: aby nie blokować sobie drogi. Rozwiniął się spór o kompetencje. Dowódca dywizjonu poczęł forsować swoje stanowisko, przytaczając wskazania regulaminu, według których artyleria w terenie nieprzejrzyście, a przede wszystkim w lasach, powinna iść ramię w ramię z piechotą, aby ogniem nawprost torować jej drogę. Na to rozszłoszczony podpułkownik oświadczył, że w ogóle nie potrzebuje artylerii, że wszelkie opory będzie usuwał uderzeniem wręcz. Wobec takiego argumentu nie pozostawało nam nic innego, jak zatrzymać się i dać pierwszeństwo piechocie.

Nie była to wszakże piechota, lecz wszelka zbieranina z różnych rodzajów broni, która straciła swój sprzęt, lub odłączyła się od swego oddziału. Na czele jednej z kompanii naprzykład ujrzałem dowódcę baterii przeciwlotniczej, którego działą zostały z tamtej strony Bzury zbombardowane, spalone, albo pozostawione na rozkaz. W skład kompanii wchodził strzelcy, ulani, łotnicy w swoich stalowych mundurach, strzelcy pancerni w charakterystycznych kaskach i w ogóle wszystko, co nie miało się gdzie przyczepić. Za całe uzbrojenie służyły tylko karabiny, o cekamach lub erkaemach nie było mowy. Różne to były twarze tych żołnierzy. Jedne rozognione uczuciem zapалу i nienawiści, inne spokojne i surowe, jeszcze inne bierne i obojętne na wszystko. Szczególny animusz zdradzała lotnicy i pancernicy, dla których marsz i walka piesza były nowością. Piechur szedł naogół z rezygnacją, nabytą w marszach od początku wojny. Wśród żołnierstwa szli również oficerowie, którzy nie mieli stanowisk dowódczych w tej zbieraninie. Ich oddziały albo zostały zniszczone, albo się rozpadły na szereg mniejszych, niezależnych od siebie grup.

Oto kroczył samotnie jakiś rotmistrz na rozstawionych po kawaleryjsko nogach, tam potykał się w piasku kapitan, należący do wyższego sztabu artylerii. Byli to ludzie zdawało się niepotrzebni i godni pożałowania, jak dyrektory rozbitych banków. Spoglądaliśmy też na nich z nieukrywaną wyższością.

— Nie wierzymy wam, żeście wykonali wszystko, aby utrzymać się na wyznaczonym stanowisku. Spotkało was nieszczęście, ale i sami napewno ponosiscie winę. Szły od nas niejako fluidy z oskarżenia, albowiem człowiek t. zw. porządnym jest bezlitosny dla ludzkich niepowodzeń i zawsze chętnie upatruje w nich zasłużoną karę.

Tymczasem w drodze spór trwał dalej. Szczególnie wiele hałasu robił adiutant pułkownika, uważał się za faktycznego dowódcę. Pod pozorem zaprowadzania porządków szarpał swego konia to w jedną stronę, to w drugą i wszędzie znajdował powód do uwagi, czy nagany.

Stan naszych nerwów był tak nadszarpięty zmęczeniem i przejęciami, że byle co prowadziło do kłótni. Wszyscy potrosze patrzyliśmy na siebie wilkiem, dając chętnie upust swej złości i rozgoryczeniu. Widząc niewielki zakres swego działania, obwinialiśmy nieraz przełożonych, czy podwładnych za niepowodzenia i porażki, ani przeczuwając, w jak wielkim rozmiarze zbliża się klęska. Lecz widzieliśmy wówczas tylko najbliższe te rzeczy.

Przez ten czas organizował się marsz ubezpieczeniowy. Lecz widoczne było, że nie ma on w ogóle żadnych cech ubezpieczenia. Nie było ani szperaczy, ani szpiczy, ani jakichkolwiek odległości. Szła po prostu kompania z dowódcą na czele, a za nim po obu stronach drogi żołnierze z bagnietami na broni. Pod wpływem sporów uległem psychozie spodziewanej walki. Zainteresowałem się więc kwestią ubezpieczenia bocznego, w tym wypadku z lewej strony od skraju puszczy, gdyż prawa wydawała się nie wchodzić w rachubę z powodu obszaru leśnego. Okazało się, że nie było nic podobnego. Zrobiliśmy więc alarm, że to niedopuszczalne zapędzanie.

Za chwilę wyznaczono oddziałek, który naukos zanurzył się w las.

W takim stanie ducha i organizacji, gdzie piechociarze chcieli dowodzić artylerią, artylerzyści wtrącać się w sprawy piechoty, dotarliśmy do zachodniego skraju wioski Polesie Stare.

Zbliżyliśmy się do starodrzewu, po prawej stronie mając zagajnik, po lewej polanę, a dalej drogę.

Wtem nagle bez żadnych wcześniejszych znaków, jak wszystkie zaskoczenia zresztą, padła seria ognia maszynowego. Oshuliśmy na moment, lecz prawie natychmiast rozległ się czyjś głos:

— To z tego domku!

Okrzyk ten silniej niż hasło lub rozkaz wywołał odruchową wprost reakcję.

— Odprzodkować! — ryknąłem — do pierwszego działą.

Zakotłowało się przy działą, rozległ się trzask wyładowanego lemiessa, kilka zasapanych okrzyków, brzęk opuszczonych tarcz ochronnych, łomot otwieranego jaszczaka i już ładowniczy wprowadzał nabój do lufy.

— Celuj wprost! — obsługa zarzucała łoża działowe, celowniczy naprowadzał lufę pokrętem kierunkowym, lecz było to zbędne, bo domek stał tak blisko, że niepodobna było weń nie trafić.

— Gotowe! — zakrzyknął celowniczy.

Obsługa odskoczyła na bok, zamkowy chwycił za sznur spustowy, ale hasło „pal” zastępiło mi na ustach, bo oto piechota szybsza, niż nasze czynności przygotowawcze zakrzyknęła „hurra” i rzuciła się niepowstrzymanie w kierunku domku.

Już teraz nie wolno mi było oddać strzału, gdyż byłby to strzał samobójczy. Zgrzytnąłem zębami i odwróciłem się do adiutanta piechoty, aby go skłóć za bezsensowny zapal, ale zaniechałem zamiaru. Wszak już dawno była powzięta decyzja jednako na wszystkie możliwości — brać szturmem!

Rozległy się nowe serie ognia, tym razem jakby z drągowiny za domkiem, a może ze skraju starodrzewu. Nowy oddział piechoty rzucił się naprzód z tym samym przeciągiem, a ostrym „hurra”. O strzelaniu wpróż nie było mowy. Domek był już zajęty, grupki żołnierzy zanurzały się w drągowinie. Obejrzałem się na boki, gdzie by się pozbyć z takim pośpiechem załadowanego pocisku. W lewo za podłesnym żywopłotem olszyny przebiegały gole pole. Tam kazałem odwrócić działą i oddać strzał, który już siłą eksplozji mógłby strząsnąć z drzew podstępne gniazda karabinów maszynowych.

Ogień nagle ustał, tak samo niespodziewanie jak powstał. Wyglądało na to, że nieprzyjaciół pierzechnął na samo ukazanie się bagnietów. Obsługa zabrała się do zaprzodkowania działą do dalszego marszu. Unoszone tarcze, składano amunicję, przodek podjechał do zaczepu. Reszta piechoty minęła nas wraz ze swoim dowódcą. Incydent, zdawało się, był zlikwidowany.

Lecz wtem pękł granat. Odwróciłem się oczy. Nad zagajnikiem tuż przy drodze unosił się kłębek dymu, pozostałość po rozprysku.

— Niechże to piorun trzaśnie, tu zaraz będzie masakra.

Znowu zagrzechał karabin maszynowy. Działonowy zachwiał się i odskoczył krok w tył.

Z przodu rozległy się dalsze serie ognia. Odezwały się również inne karabiny maszynowe. Odpowiedziano im nowymi okrzykami wściekłości i zapalu. Lecz widać było, że piechota nie posuwa się naprzód. Miał tego rozpyska się po lesie i zaczęła strzelać beładnie, wytrzymując morderczy zalew kul. Nagle rozległy się wołania:

— Dywizjon na stanowisko. Dowódca baterii naprzód!

Wiedziałem, co to znaczy, żądano wsparcia artyleryjskiego, ponieważ szturm utknął w polowie drogi.

Był to klasyczny przykład naszej doktryny taktycznej w praktyce: „Jak najprędzej na bagnety, a jak źle, pomoc dajcie mi rodacy”. Byłoby to nawet słuszne, gdyby za nami szła masa uderzeniowa, której byłibyśmy strażą przednią, lecz my staliśmy sami wszystko.

IV.

Gdy odezwały się pierwsze serie ognia, oczywistym się stało, że mamy przed sobą nieprzyjaciela. Naturalnie nie mógł to być pojedynczy karabin maszynowy. Musiał to być jakiś oddział wydzielony, ponieważ bateria, czy choćby pluton moździerzy nie tworzyłyby pojedynczemu karabinowi, lecz conajmniej kompanii piechoty, czy dywizjonowi kawalerii. Jeśli się już to stwierdziło (nawet najogólniej) należało powziąć jakiś plan (o obliczaniu własnych sił nie wspominam, gdyż jest to zbyt odległe dla naszego charakteru). Rzadko się zdarza taka sytuacja, w której by była tylko jedna możliwość. Najczęściej można znaleźć kilka sposobów wykonania jednego i tego samego zadania. Zadanie było tu oczywiste, usunąć nieprzyjaciela, który nam zagradza drogę.

Lecz rozwiązania dla tego zadania było wiele. Należało się więc zastanowić, czy iść czołowo, czy zająć z boku i z którego, czy rozdzielić siły, czy nie, jak użyć artylerii. Jeśli nawet przyjęto koncepcję najprostszą i wypływającą z konieczności, to

Z O S T A Ł A

należało wydać rozkazy kompaniom, wyznaczyć obwód, wskazać oddziałom kierunek działania, określić swoje miejsce i t. d. Tego wszystkiego nie było. Może ktoś zbliżyć przytoczone zarzuty jednym słowem: nie było czasu. Jednak to jest nieprawda. Tyle czasu, aby rozjeżdżać się, zastanowić, powiedzieć kilka zdań, przeważnie zawsze się znajduje. Natomiast nie było czego innego — pracy myśli i planu. Tego planu, który stwarza arcydzieła wojenne, planu, w którym nawet niezrozumiałe dla nas czekanie prowadzi do zwycięstwa. Wszak Wellington pokonał Napoleona pod Waterloo dzięki całodziennemu lecz czujnej bezczynności. Siła więc planu obok determinacji jest bardzo wielka.

Niestety w tym wypadku cały plan, całe rozkazodawstwo zastąpił okrzyk „hurra”. I dopiero, kiedy okazało się, że opór nie ustępuje pod działaniem pierwszego uderzenia, zaczęło się rozwojowe wydawanie rozkazów.

— Dywizjon na stanowiska. Dowódca baterii naprzód! — powtarzali żołnierze nieprzerwanie.

— Proszę zapewnić dla mnie wsparcie artylerii — rozkazał podpułkownik.

Za chwilę byłem u dowódcy piechoty.

— Czy pan widzi cele? — dopytał.

— Domyślam się, gdzie być mogą — odpowiedziałem z ociąganiem się, gdyż o faktycznym ujrzeniu celów mowy być nie mogło, — były zamaskowane wśród koron drzew.

— Niech je pan ostrzela!

— Tak jest panie pułkowniku.

Jak tu ostrzelać te cele w zwykły sposób, ogniem pośrednim, ponad głowami piechoty. Było to niemożliwością. Wiedział o tym każdy oficer artylerii, jak i najstarszy kapral. Jednak po całych awanturach po drodze nie mogłem tego zameldować dowódcy, gdyż taki meldunek w obliczu wroga wyglądałby na niechęć i nieudolność. Już i tak piechota miała pretensje do artylerzystów, że zbyt często meldowali o różnych niemożliwościach, gdy piechurzy żądali od nich ognia.

Jedynym, skutecznym i możliwym sposobem strzelania artylerii w tej sytuacji było strzelanie na wprost. Ale takie strzelanie wymagało całkowitego wycofania się piechurów, aż za linię dział do ewentualnej obrony sprzętu jedynie.

Gdybym był sam bez tej piechoty, która niewiedomo skąd się nagle wzięła, las rozbrzmiewałby już od dziesięciu minut salwami wybuchów. Od samego grzmotu potrudziliby Niemcy; każdy mój pocisk miał pud wagi. Słyszałem już nieraz wybuch granatów 100 mm haubicy z najbliższej odległości. Te granaty, które pękały nam nad głowami, to były dziecinne zabawki w porównaniu z potęgą wybuchów moich. Lecz niestety byłem związany zależnością i nie mogłem czynić, co uważałem za najlepsze, tylko co mi kazano.

Niecierpliwie się oczekując na połączenie ze stanowiskiem.

— Co tak długo — ofuknąłem telefonistę.

— Strzelają, musiałem się kryć pod drzewami.

— Dawaj baterię!

Telefonista zaczął przywoływać swego towarzysza na drugim końcu kabla.

— Nikt się nie zgłasza, panie poruczniku.

Wkradło się we mnie straszne podejrzenie. O niesprawności linii mowy być nie mogło. Była zbyt krótka. Niecały bęben kabla, niemal głosem można się było porozumiewać. Zerwałem się na nogi i zacząłem co tchu w piersi biec z powrotem do baterii. Huragan myśli zerwał się w mej głowie.

Biegłem nie zważając na ogień.

Wyobrażałem sobie, że na stanowisku spotkam zwal trupów, panikę i jęki rannych. Omyliłem się w moich przypuszczeniach, gdyż zastałem tam jedynie spokój, lecz był to spokój pustki.

Odjeżdżając do dowódcy piechoty, poleciałem por. Łukaszewiczowi zająć stanowisko na kulturze leśnej. Nadarmo jednak wzrok mój szukał dobrze znanych sylwetek moich haubic. Również nie widać tam było charakterystycznego ruchu w czasie zajazdu, ani słychać brzęku i łoskotu odpróżkowywanych dział. Cały klin kultury, który powinien być napelniony wrzawą przygotowań był pusty jak cmentarz.

— Gdzie się podziała bateria? — Dopiero, gdy przybyłem na miejsce, ujrziałem całą sytuację.

Na drodze tuż przy skrajnie na duktę stało działo zaprzężone samotnie bez obsady. Konie stały przy skraju zagajnika

ze smętnie spuszczonej głowami, jakby rozumiały ogrom tego, co się działo. Siodłowy pary dyszlowej zwiślał bezwładnie w przykłąku oparty o dyszel i zawieszony na uprzęży. Na nim siedział pochylony nisko naprzód jeździec. Koń i jeździec byli zabici. Bujna, płowa czupryna spływała z głowy jeźdźcy, zakrywając twarz i piersi. Zastygła ręka obejmowała rękojeść bata, nogi tkwiły mocno w strzemionach. Rzekłbyś pomnik poległego na posterunku kanoniera.

Był to przerażający widok w swojej kamiennej nieruchomości. Strugi krwi z zabitych i rannych koni tworzyły jakby podstawę, dzięki której cała grupa odcinała się wyraźnie od szarości piasku drogi. Opodal leżał opuszczony aparat telefoniczny.

Oderwałem przerażone oczy i przeniosłem wzrok w lewo. Tu na duktę stało drugie działo. Jego zaprzęg tkwił, jakby siłą wtłoczony w zagajnik. Nigdzie żywej duszy. Doskoczyłem do dział. Nikogo. Trzeci zaprzęg był doprowadzony do wzgórza i również pozostawiony.

— O, Boże, co się tutaj stało? Gdzie Łukaszewicz, Kozubek, gdzie działonowi?

Sytuacja gmatwała się coraz bardziej. Już obecnie nie chodziło o to, czy działa tak czy inaczej. Zagadnienie najważniejszego użycia artylerii ustąpiło trochę, czy ją w ogóle uda się użyć. Brak oficerów nie był tu największą przeszkodą; mogłem sam ich zastąpić, mogłem kogoś znaleźć do pomocy, miałem kilku młodych działonowych, doskonale wyszkolonych, lecz niepodobnie było zastąpić obsługi. Do każdego działu potrzeba 6-ciu ludzi prócz działonowego. Dopuszczalne minimum stanowiło czterech kanonierów, z których dobry celowniczy mógłby również kierować pracą działonów. Lecz niestety i tego minimum nie było. Wszystkich, ale to dosłownie wszystkich porwał powodowany zapalem bitewnym adiutant — do nowego uderzenia, gdy nad baterią rozerwał się granat i kontuzjował oficerów.

Był to dalszy nonsens. Ciągłe tkwiliśmy w formach XVII wieku. Od tego czasu technika walki zmieniła się dziesięciokrotnie, a my nie mogliśmy wyzbyć się iluzji uderzenia. Dla tego pojęcia nie było miejsca w naszych warunkach.

Nieprzyjacieli był zapatrzonzy w karabiny maszynowe, którymi przyszywał wszelkie próby szturm, poza tym siedział na drzewach. Powiedzmy, że dotarliśmy do drzewa, na którym znajduje się gniazdo ogniowe. Co dalej czynić, przecież bagnet go nie dosięgnie, granatem go nie strącić; przeciwnie, dzięki sile bezwładności, nieprzyjacieli będzie nas razić granatami przez zwykłe ich opuszczanie. Gdzie jest więc efekt naszego uderzenia?

Pozwólcie teraz działu artylerii. Odpędzić precz to wszystko z przedpola. Niech ustawi się naprzeciw ściany lasu bateria. Na drzewach są karabiny maszynowe. Tym lepiej w górę bez przeszkód idą wszystkie odłamki. W ciągu minuty dział może oddać 8 strzałów, cztery działa odda ich 32. Proszę, znajdźcie mi taki oddział, który by wytrzymał 32 strzały oddane z bezpośredniej odległości.

Lecz niestety zamiast zbliżyć się do takiego działania, oddalaliśmy się odeń coraz bardziej w swoim zacietrzewieniu, jakbyśmy się bali, że nieprzyjacieli za prędko uciekną i nie zdążymy wykonać swego bohaterstwa. Byliśmy w tym podobni do wariata, który bije łbem o zamkniętą bramę, zamiast otworzyć ją kluczem, schowanym do kieszeni. Oto nasz polski temperament. Giniemy i krwawimy się, zgrzytamy ze wściekłości zębami, a nie chcemy w żaden sposób pomyśleć. Mając pociski w jaszczach, używamy bagnetów. Pociski zaś leżą w jaszczach dalej z powodu braku rąk, które by je mogły załadować do lufy.

Obezwładniony więcej przez swoich, niż przez nieprzyjaciela, ległem pod wzgórzem, aby nieco pozbić rozprzeczne myśli i o ile to możliwe, zastanowić się, co mi pozostaje do zrobienia. Nie miałem żadnych podstaw do jakiegokolwiek działania. I im dłużej zastanawiałem się nad sytuacją, tym jaśniejszym się stawało, że bateria jest skończona. Brak ludzi uniemożliwiał wszelką akcję. W tej chwili może najbardziej miałem się przekonać, że podstawą każdej organizacji jest przede wszystkim człowiek. Niestety wydarło mi moich ludzi w najpotrzebniejszej chwili. Obracałem w głowie różne możliwości. Z pewnością można by znaleźć trochę jeźdźców, lecz jeźdźcy nie zastąpią obsługi. O wycofaniu obsługi z pola walki mowy być nie mogło. Kto raz tam poszedł, tym nie można już było nigdzie dysponować.

W czasie tych zmagania z samym sobą, gdzie chęć czynu nicowała wszelkie możliwości, a rozsadek odpowiadał nic z tego, z zagajnika wyłoniła się grupa żołnierzy, popędzanych przez plutonowego z rewolwerem w rękę. Byli to ci, którzy zamiast przyłączyć się do szturm, zniknęli w gąszczach. Byli to jakby opatrnościowi moment, gdyż w chwilę przed tym zjawił się od dowódcy piechoty telefonista, ciągnąc za sobą kabel.

— Co to jest?

— Pan pułkownik żąda ognia i kazał budować do baterii łączność.

— Poproście pana pułkownika.

Chciałem w zburzeniu zameldować, że bateria uległa niesłychanemu bezprawiu, została pozbawiona całego stanu obsługi, że wobec tego nie może być mowy o wykonaniu ognia. Ująłem słuchawkę, w której natychmiast odezwał się głos pułkownika. Żądał, błagał, zaklinał. Nie mogłem dojść do słowa. Cała obecność mojego meldunku pierzchała. Żal mi się zrobiło tego dowódcy i jego nadziei.

W tej właśnie chwili ujrziałem przedzierających się z zagajnika. Błysk postanowienia rozjaśnił myśl. Po co zabierać mu tę resztę nadziei; może świadomość bliskiego wsparcia artylerii podtrzymuje go na duchu, może to zadecyduje o powodzeniu, nie będę tej świadomości niweczył. W miejsce przygotowanego meldunku, rzekłem do słuchawki:

— Tak jest panie pułkowniku, za chwilę bateria będzie strzelać.

Z całą furją odrodzonego zapalu rzuciłem się z przygodną gromadą do odpróżkowania i odsunięcia sprzętu od ściany lasu tak, aby w ogóle można było przezeń przestrzelić. Wśród gromady znalazł się jeden bombardier. Podzielił się między siebie dwa przytoczone działa. Sprawiliśmy je do strzelania; ktoś skoczył po amunicję. Zajechał zaraz pod dowództwem starszego ogniomistrza — Woźniaka jaszej na stanowisko.

Zaczęła się improwizacja. Żołnierze, którzy nie widzieli haubicy z bliska, musieli ją teraz obsługiwać.

Trzeba było więc wpiąć zainstruować te czynności, których sam wykonać nie mogłem. Wkręcenie zapalnika, przygotowanie ładunku etc.

Lecz wojna uczy szybko. Za chwilę strzelac w owijaczach wypchał już pocisk do lufy. Bombardier przy swoim dziale oznajmił „gotowe”.

— Pal! — skomenderowałem odrazu.

Nie może mieć pojęcia, kto nie był artylerzystą, jaka radość i spokój opanowały człowieka, gdy jego dział huknie wystrzałem. Powtórzyliśmy załadowanie. Znowu poszły dwa strzały. Nie bateria to wprawdzie była, ale dwa działa też coś znaczyły. Jakież miało to znaczenie moralne dla dowódcy, który zaangażował wszystkie siły do akcji i dla krwawiących bezskutecznie żołnierzy. Naturalnie o rażeniu karabinów maszynowych, które nam zagrażały drogę, nie mogłem marzyć. Były zbyt blisko, aby je dosięgnąć ponad drzewami. Działa stały nie więcej niż 50 m. przed ścianą lasu i jedyną moją troską było nie zaczepić któryś z pocisków o wierzchołek drzewa. Celownik wskazywał 3.000 m. Przy prawym dziale czynności celownicze spełniał bombardier, przy prawym ja.

Wszakże u mnie celownik był unieruchomiony uderzeniem większego odłamka, to też przed każdym strzałem musiałem lufę naprowadzać na oko, równoległe do lufy działu sąsiedniego. Kłamałem w duchu taki sposób prowadzenia ognia, lecz coś innego pozostawało.

Strzelaliśmy dalej, lecz nie odbywało się to bez przeszkód. Oto „zdobyty” już, ale wciąż ukryty w drzewie karabin maszynowy obsypał nas z lewej strony deszczem jadliwych kulek. Były one niecelne, bo z drzewa trudno dobrze wycelować, ale ciągle ich brzęczenie nad uchem przeszkadzało i gniewało. Już, zanim wróciłem z przedpola, Silkowski zorganizował był szturm na karabin. Zebrał grupkę ludzi, wyrwał rewolwer z pochwy i z przekleństwem na ustach rzucił się na drabinę. Ale karabinu nie zniszczył, siedział on dobrze zamaskowany i raził nas swym ogniem.

Byłem bezbronny wobec niego, jak człowiek z dynamitem wobec bandyty, usadowionego za stołem biesiadnym. Strzelić weń było niepodobieństwem, wszędzie byli nasi żołnierze. Znowu musiałem działać moralnie. Odwróciłem dział i posłałem pocisk wzdłuż duktu. Uspokoilo to karabin, lecz nie na długo. Cóż? Szum lecącego pocisku nie jest znów tak straszny. Główna jego siła, to wybuch. Niestety, wybuchu nie wolno mi było w tym miejscu wywołać. W ten sposób zamiast zmiażdżyć wszystkie opory, byłem zmuszony rozsyłać swoje pociski niewiedomo gdzie.

Czuło się w tym wszystkim jakiś fałsz, jak w pieśni zaczętej w niewłaściwej tonacji. I jak pieśni nie można już przerwać wobec otwartej kurtyny, tak i stanu tego nie można było naprawić. Musiał ulec likwidacji sam.

Nadomiar wszystkiego ubrdalo się komus, że moje pociski padały we własne ugrupowanie, gdy nieprzyjacielskie moździerze po kilkuminutowym ostrzeliwaniu domniemanej drogi odwrotu baterii, skróciły swój ogień i zaczęły go kłaść na starodrzew.

Z przedpola zaczęły dochodzić rozkazy: wydłużyć ogień. Nie mogłem się w tym polapać, gdyż bowiem mógł ktokolwiek włącznie ze mną mieć o moim ogniu jakiegokolwiek pojęcie? Jednakże wydłużyłem posłusznie o 500 metrów. Jakież było moje zdziwienie, gdy za chwilę znowu nadeszły wołania — wydłużyć ogień!

— Co to może znaczyć, u licha, czyżby ktoś poszedł tam z boku, czy jak?

Nie rozumiałem. Zaprzestałem na chwilę strzelania. Lecz z pola mimo to przyszedł dalszy rozkaz — wydłużyć ogień! Wtedy stało się jasne o co chodzi. Piechota brała wybuchy moździerzy za wybuchy moich haubic. To mnie dobiło gruntownie. A więc i to na nic. No to więcej już dla was nie zrobić nie mogę. Machnąłem na haubice ręką i usiadłem pokonany na łożu, podczas gdy od przodu nadchodziło ciągle wołanie: wydłużyć ogień!

— Zameldujcież do pioruna, że bateria już dawno nie strzela, to, co się rozrywa, to są pociski nieprzyjaciela — krzyknąłem do telefonisty. Telefonował. Ale i to nie pomogło. Szło ciągle to samo żądanie, jak wyrzut i skarga za niepowodzenie.

Apoloniusz Zawilski

„Wieszcz narodowy Flandrii jest głosem
bohaterskim nieśmiertelnej wolności”

„Monumentalne arcydzieło na miarę Don Kiszota”
(z przedmowy Romain Rollanda)

KAROL DE COSTER

OSOBLIWE PRZYGODY DYLA SOWIZDRZAŁA

Pierwsze wydanie zupełne ilustrowane

stron 484

zł. 250

„K S I A Ź K A”

ADAM SCHAFF

W sprawie polityki wydawania dzieł marksistowskich

Po latach przymusowego milczenia, gdy cenzura sanacyjna dusiła wszelki przejaw swobodnej myśli lewicowej, gdy sztucznie eliminowano przedstawicieli idei marksistowskiej lub jej sympatyków z wyższych uczelni, gdy próbowano marksizm uśmiercić spiskiem milczenia, po raz pierwszy w Polsce Ludowej marksizm występuje znowu na widownię jako równoprawny prąd ideologiczny. Wobec roli, jaką odgrywa obecnie ruch robotniczy w naszej rzeczywistości, ideologia ruchu robotniczego — marksizm wywołuje zrozumiałe zaciekawienie. I to jest strona pozytywna, to stanowi siłę atrakcyjną marksizmu. Z drugiej strony jednak istnieją również momenty ujemne, hamujące renesans ideologii marksistowskiej. Należy pamiętać, że spisek milczenia wydał swoje owoce, że wśród szerokich rzesz inteligencji, nie mówiąc już o szerokich masach ludności w ogóle, marksizm stał się terra incognita. W związku z tym działalność ciemnogrodu jest ułatwiona, albowiem najbardziej bzdurne wymysły i insynuacje nie napotykają na odpór ze strony zupełnie zdezorientowanego czytelnika, gotowego wierzyć we wszystko. Stąd też zadanie tych, którzy biorą na swoje barki udostępnienie ideologii marksistowskiej naszemu społeczeństwu, jest jednocześnie ułatwione przez pierwszy czynnik i utrudnione przez drugi. Jest ono ułatwione dzięki żywemu zainteresowaniu, jakie istnieje w społeczeństwie dla ideologii marksistowskiej. Jest ono utrudnione z powodu powszechnej ignorancji, która w stosunku do marksizmu panuje. Pracę należy zaczynać od podstaw, od a, b, c. Zadanie żmudne i wymagające długiego okresu czasu.

Różniacie się drogi, którymi kroczy propaganda i trudno jest ustalić hierarchię jej form. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdy idzie o głębszą propagandę ideologiczną na pierwszy plan wysuwa się książka.

Gdyby istniała możliwość nieograniczonego wydawania literatury marksistowskiej tak odnośnie doboru dzieł, jak i odnośnie nakładów, wszelkie rozważania nad polityką wydawniczą stałyby się zbędne. Z chwilą jednak, gdy istnieją ogromne trudności techniczne, związane z przekładami dzieł, których nie ma w polskim tłumaczeniu (naturalnie, mowa o tłumaczeniach nadających się w ogóle do użytku, czego nie można, niestety, powiedzieć o większości polskich tłumaczeń dzieł marksistowskich), oraz z brakiem papieru i drukarni, zagadnienie — co się wydaje, w jakiej kolejności i w jakim nakładzie, jednym słowem sprawa polityki wydawniczej nabiera pierwszorzędного znaczenia. Postaramy się krytycznie naświetlić tę politykę z punktu widzenia potrzeb propagandy ideologii marksistowskiej, zaczynając od dzieł klasyków. Rozpatrzymy krytycznie, co dotąd w tej dziedzinie zostało zrobione, a następnie przejdziemy do wykazania, co należy wydać w najbliższej przyszłości, oraz jak należy dzieła te wydać. Na zakończenie przejdziemy do problemu oryginalnych prac marksistowskich, oraz do sprawy tłumaczeń dzieł współczesnych autorów marksistowskich, pracujących za granicą.

BILANS DOTYCHCZASOWEJ PRACY

Ktoś, kto zająłby się statystyką wydawnictw klasyków marksizmu w ciągu ostatnich dwóch lat w Polsce Ludowej, mógłby bez trudu sporządzić poważną listę prac, wydanych w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Udostępniono polskiemu czytelnikowi w doskonałych tłumaczeniach takie perły literatury marksistowskiej, jak „Manifest komunistyczny”, „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki”, „Ludwik Feuerbach”, „Praca najemna i kapitał”, „18 Brumaire’a Ludwika Bonaparte”, szereg prac Lenina i Stalina. Wydawnictwa tanie, forma dobra, nakłady jak na stosunki przedwojenne zawrotne i mimo to rozchwytywane w rekordowym tempie. Z punktu widzenia propagandy marksizmu osiągnięcie pierwszorzędne, które bezwzględnie wpłynęło poważnie na zapoznanie polskiego czytelnika z marksizmem. Osiągnięcie możliwe tylko w warunkach nowej demokracji polskiej.

A więc, wszystko w porządku?

Taki wniosek byłby co najmniej pochopny i świadczyłby o bardzo powierzchownej analizie.

Wydano wiele i tym samym zrobiono wiele. Ale przy tym nie wolno zapomnieć, że wszystkie wydawnictwa są tylko **przedrukami**. Nie ma ani jednego nowego tłumaczenia, nie ma — prócz Plechanowa („Podstawowe zagadnienia marksizmu”) oraz Kautskiego („Nauki ekonomiczne Karola Marksa”) — poważniej na nowo opracowanych tłumaczeń. Nie zrobiono więc praktycznie w ciągu dwóch lat ani kroku naprzód w dziedzinie udostępnienia nowych dzieł marksistowskich polskiemu czytelnikowi, żyjącemu starym kapitałem i wydającemu tylko, co było gotowe, niezależnie od głębszych momentów, które powinny decydować o polityce wydawniczej. Nie wolno mieć się ilością wydanych prac i wysokością nakładu. Ostatecznie nie w tym trudnego, gdy się ma do dyspozycji drukarnie i pieniądze, **przedrukować** już istniejące prace. Mówić w tym wypadku o **polityce** wydawniczej, która rozwiązuje problemy naszej propagandy ideologicznej, byłoby co najmniej przesadą.

Argument, że względy techniczne nie pozwalały na publikowanie większych prac, nie wytrzymuje krytyki. Obecnie można je publikować z punktu widzenia możliwości technicznych. Szkoda w tym, że nie ma materiału, że go nie przygotowano na czas. I na tym polega błąd polityki wydawniczej. Realny bilans naszej polityki wydawniczej dzieł marksistowskich jest wyraźnie osłabiony — tym, że z punktu widzenia dalekowzrocznej polityki wydawniczej nie zrobiono nic. Nie chcemy tym umniejszyć znaczenia tego wysiłku, który został wydatkowany na niezwykle pożyteczne przedruki. Ale to nie zmienia postaci rzeczy, jeśli idzie o przygotowanie nowego materiału.

ZADANIA POLITYKI WYDAWNICZEJ NA NAJBLIŻSZY OKRES

Prace z dziedziny marksizmu są u nas rozchwytywane w rekordowym czasie. Świadczy to o tym, że czytelnik łaknie książki marksistowskiej, że jest ona czytana. Idzie o to, by uprawiając odpowiednią politykę dostarczyć mu w pierwszym rzędzie tych dzieł, które są najbardziej potrzebne. Nie możemy wydać od razu wszystkich dzieł klasyków marksizmu, należy więc wybrać te, które uważamy za najpotrzebniejsze i które jednocześnie nastroją najmniej trudności wydawniczych. Postaramy się nakreślić taki spis wydawnictw na okres najbliższy.

Zacznijmy od rzeczy najłatwiejszej — od przedruku. Dotąd wydawano tylko poszczególne prace, wyjęte z większych zbiorów. Jest to pozytywne o tyle, że poszczególne broszury są stosunkowo tanie. Ale z drugiej strony zostaje rozbita ta całość, którą prace te tworzyły w doskonałe przemyślane zbiory wydanych w Moskwie. Dzieła wybrane Marksa, Lenina i Stalina stanowią celowo ujętą i głęboko przemyślaną całość, co ułatwia czytelnikowi studium marksizmu. Rozbijając te zbiory na części, utrudniamy sytuację studiującego i w sumie podrażamy koszt wydawnictwa. Dzieła wybrane, o których była wyżej mowa, są obecnie całkowicie wyczerpane. Nowe wydanie tych prac jest sprawą stosunkowo łatwą, wymagającą jedynie sprawnego aparatu technicznego.

W związku z przedrukiem dzieł wybranych Marksa należy poruszyć sprawę drugiego tomu dzieł wybranych. Dotąd ukazał się w druku tylko tom pierwszy (obecnie wyczerpany). Konstrukcja dzieł wybranych jest jednak, jak już zaznaczyliśmy, głęboko przemyślana i tworzy pewną całość. Tom pierwszy zawiera podstawy teoretyczne, tom drugi prace historyczne i polityczne, będące zastosowaniem materializmu historycznego do konkretnych dziedzin. Bez tego drugiego czytelnik nie może zdobyć pojęcia na całokształt doktryny marksistowskiej. Tom ten zawiera tak cenne prace jak: „Walki klasowe we Francji”, „Wojna domowa we Francji”, „18 Brumaire’a”, „Krytyka programu gotajskiego” itp. Brak tego tomu w języku polskim stanowi dotkliwą lukę. Opóźnienie jego wydania jest tym bardziej niewybaczalnym błędem, że jest on całkowicie gotów od 1941 r. i wydaniu przeszkodziła tylko wojna. Tom drugi dzieł wybranych Marksa winien ukazać się w najbliższym czasie.

W miarę zapoznawania się naszej inteligencji z ideologią marksistowską rośnie zainteresowanie dla jej filozoficznych i ekonomicznych podstaw. Brak tłumaczeń kapitalnych dzieł marksizmu w tej dziedzinie daje się dotkliwie odczuć polskiemu czytelnikowi. Zając sobie sprawę z trudności obiektywnych, które porażaliśmy już wyżej, musimy stwierdzić, że nie zrobiono drobnej części tego, co można było zrobić nawet przy obecnych trudnościach.

Największą przeszkodą w wydaniu klasyków jest brak tłumaczeń. Jest to zadanie bardzo odpowiedzialne i trudne. Ale na karb czego należy położyć to, że w ciągu dwóch lat nie zaczęto nawet prac redakcyjnych nad już istniejącymi tłumaczeniami?

Czytelnik polski pragnie zapoznać się z filozofią marksistowską i nie posiada literatury. A tymczasem istnieją w Polsce opracowane przez szereg redakcji takie podstawowe prace jak „Materializm

i empiriokrytycyzm” Lenina (tłumaczenie prof. Rudniańskiego), jedenasty tom dzieł wybranych Lenina (poświęcony całkowicie jego pracom filozoficznym), doskonałe prace Plechanowa o materializmie historycznym, wydany już w Polsce przed wojną „Anti-Dühring” Engelsa oraz tegoż autora „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa”. Nie mówimy już o nowych tłumaczeniach, ale te gotowe, kapitalne prace marksistowskie, muszą ukazać się i to w najbliższym czasie. Jeśli „Książka” nie ma odpowiedniej liczby wykwalifikowanych pracowników dla przeprowadzenia ostatecznej redakcji tych tłumaczeń, to należy skompletować kilka ekip fachowców, nie będących etatowymi pracownikami „Książki”, partie robotnicze winny postawić to jako zadanie partyjne przed najlepszymi swoimi aktywistami, którzy mogą się nadać do tej pracy.

Podobnie wygląda sprawa w dziedzinie ekonomii politycznej. Polskie tłumaczenie pierwszego tomu „Kapitału” jest wyczerpane. Bez przerobienia „Kapitału” nie można być teoretycznie wyrobionym marksistą i dlatego praca ta musi być udostępniona polskiemu czytelnikowi. Podnoszono zarzuty, że tłumaczenie pod redakcją Ringa posiada błędy i że nie można go po prostu przedrukować. Pogląd ten uważam za mylny. Tłumaczenie Ringa było nankowo ścisłe. Naturalnie i ono może być wydoskonalone. Ale pływając stąd korzyści w żadnym wypadku nie wyrównają strat powstałych na skutek odłożenia wydania „Kapitału” co najmniej na rok, jeśli ma ono nastąpić po nowej redakcji. Należy natychmiast przystąpić do przedruku starego wydania Ringa, a jednocześnie zorganizować nową redakcję dla poprawionego wydania. Niech czytelnik dostanie tekst taki, jaki jest, ale niech go dostanie szybko. Poza tym, jeśli idzie o „Kapitał”, należy odstąpić od zasady wydawania rzeczy gotowych i już obecnie rozpocząć intensywną pracę nad tłumaczeniem II i III tomu. Tom I bez następnych pozostaje tylko fragmentem. Dzieło, które jest **naukowym fundamentem** współczesnego socjalizmu musi się okazać w całości w polskim tłumaczeniu.

Poza tym musi zostać wydane po polsku (po raz pierwszy) jeszcze jedno dzieło marksistowskie, aczkolwiek wymaga ono tłumaczenia. Idzie tu mianowicie o pracę Plechanowa „Przyczynek do zagadnienia monistycznego poglądu na historię”, która może być uznana za klasyczny wykład materializmu historycznego i na której — wedle słów Lenina — kształcił się całe pokolenie marksistów.

To jest naszym zdaniem zupełnie realny program minimum wydawnictw klasyków marksizmu na najbliższy rok. Można go uznać za realny, ponieważ w zasadzie wszystkie tłumaczenia są gotowe, a dla ich redakcji można zmobilizować odpowiednie siły fachowe. Można na nim poprzestać, ponieważ w rezultacie jego realizacji moglibyśmy dać czytelnikowi główne zrebry klasycznej literatury marksistowskiej. W rezultacie zaś otrzymalibyśmy poważną bibliotekę dzieł klasyków marksizmu, której brak dotkliwie daje się obecnie odczuwać, a której wydanie wymaga — powtarzamy to raz jeszcze — raczej sprawności technicznej, aniżeli przezwyciężenia jakichś innych trudności.

W związku z realizacją — naszym zdaniem nieodzowną w najkrótszym czasie — tego planu minimalnego należy poruszyć pokrótce jedno ważne zagadnienie.

JAK WYDAWAĆ KLASYKÓW

Wspominaliśmy już o trudnościach wydawniczych, związanych z brakiem odpowiednio wykwalifikowanych pracowników. Nie ulega wątpliwości, że bez rozwiązania tego problemu nie ma mowy o spełnieniu jakiegokolwiek nawet najbardziej minimalnego programu wydawniczego, nie mówiąc już o tak poważnym zadaniu, oczekującym nas w przyszłości, jak pełne wydanie dzieł klasyków marksizmu.

Jedynie racjonalne wyjście — to uciekanie się do pomocy specjalistów, nie będących pracownikami wydawnictwa. Jest to przymus, na który nie ma wyjścia z punktu widzenia rozwiązania kryzysu kadr. Marksizm jest doktryną bardzo szeroką, obejmującą szereg dyscyplin naukowych — filozofię, ekonomię, socjologię, historię, strategię i taktykę walki. Jest rzeczą naprawdę wyjątkową, by ktoś mógł być specjalistą we wszystkich tych rozległych dziedzinach. A tylko specjalista może sobie dać radę z bardzo nieraz zawiłymi problemami terminologicznymi i rzeczowymi, wynikającymi w związku z

tłumaczeniem klasyków. Jest też rzeczą zupełnie zrozumiałą, że gdy będziemy żądać od redaktorów dzieł marksistowskich nieosiągalnego uniwersalizmu — mimo najlepszych chęci — wynikać nieporozumienia. Tym bardziej nieprzyjemne, gdy dana praca jest przeznaczona dla fachowców, albo przynajmniej może się dostać do ich rąk. Weźmy jako przykład wydaną niedawno przez „Książkę” pracę Plechanowa „Podstawowe zagadnienia marksizmu”. Tłumaczenie przedwojenne — naturalnie, jak i inne bardzo słabe — opracowano niezwykle pieczołowicie i włożono w to ogromną masę pracy. Tym niemniej jest tam szereg lapsusów, bardzo obniżających wartość wydawnictwa, a które wynikają z braku kontroli fachowca w dziedzinie filozofii.

Jedną z przyczyn obracania się w błędnym kole, jeśli idzie o kadry, jest mniemanie, że tłumaczeniem dzieł marksistowskich może się zająć tylko marksista. Z równym powodzeniem można by twierdzić, że marksista nie może tłumaczyć albo redagować przekładu np. Kanta, co jest naturalnie nonsensem, jeśli mamy do czynienia z człowiekiem, który zna język i przedmiot. Naturalnie, marksizm posiada swoją terminologię oraz pewne rzeczowe właściwości, które zwłaszcza jeśli idzie o subtelne odcienie — może uwzględnić tylko znawca marksizmu. Dlatego też ostateczna redakcja tłumaczenia musi być powierzona specjalistom o wykształceniu marksistowskim. Ale przetłumaczy i odredaguje normalnie tłumaczenie znacznie lepiej fachowiec i znawca języka, aniżeli człowiek, który jest z przekonania marksistą a nie posiada odpowiednich kwalifikacji obiektywnych.

Słowem, tak z punktu widzenia rozwiązania kryzysu kadr, jak i z punktu widzenia jakości wydawnictw należy przejść na nowy system pracy. Wzmocniona i rozszerzona redakcja etatowa powinna być połączona z sztabem, grupującym dookoła siebie szeroki krąg specjalistów: zawodowych tłumaczy, oraz fachowców — redaktorów, składających się z marksistów i nie-marksistów, znawców danych dyscyplin nauk.

ORYGINALNE WYDAWNICTWA MARKSISTOWSKIE

Wydawanie klasyków stanowi główną pozycję, jeśli idzie o popularyzację idei marksistowskiej, ale nie jedyną. Nie każdy może sobie pozwolić na rekonstruowanie całości doktryny na podstawie dzieł klasyków. Wymaga to ogromnego wysiłku i dłuższego czasu. Nic dziwnego, że coraz głośniejsze staje się wołanie wśród inteligencji i wśród szerszego ogółu, zainteresowanego teorią marksizmu, o dobrą podręcznikową, zawierającą zwarty wykład poszczególnych dziedzin. Po każdym wykładzie słyszy się pytanie, czy nie ma jakichś podręczników ekonomii, filozofii, socjologii marksistowskiej itp. Prócz wydania podstawowych dzieł klasyków zagadnienie podręczników stanowi najbardziej palące zadanie naszej polityki wydawniczej. Idzie tu w pierwszym rzędzie o następujące syntetyczne wykłady poszczególnych działów teorii marksizmu: filozofii, socjologii, psychologii, ekonomii oraz historii ruchu robotniczego w skali międzynarodowej oraz w Polsce. Rozważmy szanse zaspokojenia tych potrzeb w ciągu najbliższego roku.

Rzecz oczywista, że tego rodzaju podręczniki w literaturze światowej nie są czymś nowym. Ale zaznaczymy od razu, że jedynie w wyjątkowych wypadkach należałoby uciekać się do tłumaczenia. Nie tylko dlatego, że większość z pośród nich okazała się nieodpowiednia, ale w pierwszym rzędzie dlatego, ponieważ nie są dostosowane do potrzeb naszego czytelnika. Inaczej należy podchodzić do tych samych zagadnień i inaczej należy układać argumentację u nas w Związku Radzieckim. Inaczej podchodziło do szeregu zagadnień przed dwudziestu laty, a inaczej dzisiaj. Oryginalne, dostosowane do polskich warunków podręczniki byłyby więc wyjściem najlepszym, aczkolwiek nie zawsze postulat ten — przynajmniej w pierwszym okresie — da się zrealizować.

W dziedzinie filozofii konieczny jest oryginalny polski „Wstęp do teorii marksizmu”, zawierający wykład zasadniczych pojęć materializmu dialektycznego i historycznego, już obojętne z tego powodu, że w literaturze światowej nie ma ani jednego podręcznika, który można byłoby akceptować. Popularne dawniej podręczniki Bucharina i Thalheimera i Deborina są błędne z punktu widzenia teorii marksizmu. Rozpowszechniony w trzydziestych latach w Związku Radzieckim podręcznik pod redakcją Mitina nie nadaje się

jeśli idzie o formę wykładu, a poza tym — zwłaszcza część druga, poświęcona materializmowi historycznemu — zawiera błędy i z tego powodu podręcznik został w ZSRR wycofany z użycia. Nawet gdybyśmy chcieli, nie ma z czego tłumaczyć. Redakcja „Książki” posiada manuskrypt oryginalnego polskiego podręcznika, który stara się uwzględnić wysunięte przez nas wyżej postulaty. Wydanie tego podręcznika, jak i innych, jest rzeczą oczywistą sprawą niezwykle odpowiedzialną, gdyż będzie to podstawowe źródło przyswajania sobie teorii marksizmu przez szerokie koła naszej inteligencji i tych, którzy interesują się zagadnieniami teoretycznymi. Należy go więc dokładnie sprawdzić z każdego punktu widzenia. Zarazem jednak należy sprawę traktować jako nader pilną i należałoby wyrazić życzenie, by „Książka” tak zorganizowała pracę komisji kontrolującej wartość podręczników, by nie przeciągać sprawy ich wydania, jeśli na to zasługują.

Drugim ważnym zagadnieniem jest wydanie podręcznika marksistowskiej ekonomii politycznej. „Książka” wydała obecnie doskonały skrót i tomu „Kapitału”, napisany przez Kautskiego („Nauki ekonomiczne Karola Marksa”). Niestety, praca ta, aczkolwiek może być pomocna w zapoznaniu się z ekonomiczną doktryną marksizmu, nie daje całości obrazu, ponieważ nie uwzględnia w zasadzie II i III tomu, które zostały wydane po jej opublikowaniu. Z istniejących podręczników można by pewnymi, nieznacznymi zresztą, modyfikacjami wykorzystać rosyjski podręcznik Segala względnie niemieckie podręczniki Dunkera i Wittvogla. Poza tym redakcja „Książki” jest w posiadaniu tekstu oryginalnego polskiego podręcznika. Jest więc w czym wybierać. Należy jednak jak najszybciej powziąć decyzję i któryś z tych podręczników ekonomii wydać.

Jeśli idzie o historię ruchu robotniczego w Polsce, poważny podręcznik z tej dziedziny został zamówiony przez „Książkę” i jest na ukończeniu. Wobec ogromnego jego znaczenia i aktualności należałoby już obecnie zacząć pracę redakcyjną i po wyznaczeniu komisji specjalistów opracowywać książkę częściami, by jak najmniej zwlekać z jej wydaniem.

Odnosnie historii międzynarodowego ruchu robotniczego w grę wchodziłby — przynajmniej czasowo — podręcznik Wittvogla, przetłumaczony zresztą na język polski. Należałoby dokonać pewnej rewizji — stylistycznej i rzeczowej — tekstu oraz dodać nowy rozdział, zawierający historię ruchu robotniczego w okresie międzywojennym i w okresie wojny obywatelskiej przeciw państwu faszystowskiemu.

Jeśli idzie o psychologię należy wreszcie przystąpić do tłumaczenia doskonałego podręcznika rosyjskiego prof. Rubinsteina („Podstawy ogólnej psychologii”), który byłby prawdziwą rewelacją dla polskiego czytelnika. Redakcja „Książki” wszczęła już w tej sprawie rozmowy z grupą naukowców.

Tak wygląda program minimum oryginalnych wydawnictw marksistowskich, które winny i mogą znaleźć się na rynku w ciągu najbliższego roku.

Idzie tu, naturalnie, tylko o program minimum. Każda oryginalna praca naukowa w duchu marksistowskim jest pożądana z punktu widzenia popularyzacji ideologii marksistowskiej. Idzie o przekonanie sceptyków, że marksizm jest żywotny, że posiada wartość jako metoda badań naukowych. Tu planowane jest niemożliwe, a co najmniej utrudnione. Można tylko wyrazić życzenie, by jak najprędzej dokonane zostały tłumaczenia oryginalnych prac marksistów zachodnio-europejskich, jak „Biologia i marksizm” Francuza Prezant, „Marksizm i logika matematyczna” Czecha Kolmana, „Teoria odbicia” Bułgara Pawłowa, prace z dziedziny biologii Anglika prof. Haldanella itp. Nasza inteligencja winna się przekonać o żywotności ideologii marksistowskiej tam, gdzie się najmniej tego spodziewa — na Zachodzie Europy.

Byłoby chyba zbyt wiele wyrażenie życzenia, by wszelkie poważne próby naukowe polskich marksistów znalazły jak najgorętsze poparcie ze strony wydawnictw.

Te kontury polityki wydawniczej w stosunku do dzieł marksistowskich powinny się stać przedmiotem dyskusji ze strony zainteresowanych. Są to ogólne zarysy, ograniczające się do jednej tylko dziedziny polityki wydawniczej, bez uwzględnienia spraw literatury pięknej, sztuki i działów teoretycznych z nimi związanych. Nasze wydawnictwa nie znalazły dotąd właściwej drogi i brak dotąd świadomej polityki wydawniczej. Wobec wąziutkiego zagadnienia należałoby problem ten jak najszybciej rozwiązać a wyniki dyskusji mogłyby wnieść dużo cennego materiału o znaczeniu praktycznym.

Adam Schaff

LECH BUDRECKI

WYZWOLENIE ZDRADZONE*)

Trudno jest pisać o zbiorze esejów, jaki bez wątpienia stanowi książka p. Hervé, która nie jest — jak pisze autor — ani bilansem, ani pogłębionym studium sytuacji politycznej, lecz przedstawia przede wszystkim osobisty wysiłek zrozumienia zdarzeń i sporów, które autor przeżył oraz postępowania ludzi, którzy „nami kierują lub pretendują do kierowania nami”.

Zasadniczym zadaniem książki jest walka z przeciwnikami marksizmu i socjalizmu, którzy zaczęli nadawać ton polityce francuskiej za rządów gen. de Gaulle. Z licznych problemów poruszonych w tej książce na czoło wysuwa się walka przeciw „utopistom” i humano-socjalistom, przy czym autor czyni uwagę, iż odnośnie marksizmu stanowczo nadużywa się słowa „przezwytyczyć” i to ze strony ludzi, którzy nie zdążyli go w najmniejszym stopniu zasymilować. Młodzi ludzie, którzy nie wiedzą o marksizmie nie poza głupstwami, jakie wyczytali w swoich podręcznikach filozofii pretendują do „przezwytyczenia” marksizmu. Ich ciemnota tym bardziej drażni, iż jest pretensjonalna.

Hasła rzekomej nieaktualności marksizmu jako teorii przestarzałej mają swój przedwojenny jeszcze rodowód. Wywodzą się one w prostej linii od demagogicznych koncepcji nowego świata i od teorii Oswalda Spenglera. Ten ostatni stwierdzał przecież w „Jahre der Entscheidung” (C. H. Beck Verlag 1933 r.) odpowiadając na pytanie: „Co nazywa się lewicą”, że „hasła poprzedniego stulecia, jak socjalizm, marksizm, komunizm są przestarzałe, nie mówią o niczym”. Interesującym jest problem utopizmu tych ludzi, o których Hervé powiada, że przychodzi do późno lub za wcześnie. Polega on na tworzeniu koncepcji rzeczywistości będących wobec współczesnej epoki pewnym cofnięciem się w tył poza socjalizm, mimo bezwzględnej ich postępowości w zestawieniu np. z angielskim liberalizmem politycznym, lub na próbach nierealnej i nie nadającej się do spełnienia obecnie organizacji świata, czym mocno przypominają poglądy Fourniera, Cabanisa i St. Simona oraz te, które panowały w okresie naiwnego materializmu Vogta i Büchnera.

Ich walka z „ideałem naszej epoki”, jakim jest socjalizm, jest rozpaczliwa i śmieszna, mimo to, że stanowi chwilową groźbę dla marksizmu francuskiego, dzięki swojej intensywności, przybierającej coraz bardziej na sile.

„Najnieprzyjemniejszym” hasłem marksizmu, które traktuje się jako niegrzeczność, jako nietakt polityczny, jest walka klas. Wytacza się przeciw niej najróżniejsze argumenty, niestety żaden nie grzeszy oryginalnością. Zarzuty egoizmu klasowego, który ta walka wywołuje, skopiowane są ze Spenglera, który nazywał moralność walki klas gospodarczym egoizmem, a rozwijając ideę „białej rewolucji światowej” (Die Weiße Weltrevolution), określał socjalizm mianem „kapitalizmu od dołu”. Drugi zarzut obecnie usunięto ze względu na jego ekonomiczną naiwność, ale pierwszy jest nadal popularny. Hervé odpowiada nań, że marksizm nigdy nie potępiał egoizmu robotników, gdyż odgrywał on nie tylko poważną rolę w rozwoju ruchu, ale także w wielu wypadkach był promotorem licznych poświęceń. Ale moralizatorom politycznym nie podoba się wyraz „egoizm” ani „walka klas”.

Dużo żywsza jednak nienawiść odczuwała utopistka do realizmu politycznego. Uważają go za niewłaściwy jako ten, który wniósł zamęt i niepokój w nasze patriarchalne wprost stosunki polityczne. Osadzili ten trzeźwy i oportunistyczny nieraz w zestawieniu z romantyzmem politycznym realizm, właściwy marksizmowi, za demoralizujący życie państwowe. „Trzeba żeby ci, którzy są komunistami powiedzieli głośno, iż wypowiadają się za dyktaturą proletariatu, o ile są za dyktaturą proletariatu, a za usunięciem religii, jeśli są przeciw religii. Moralizatorzy ci nie biorą pod uwagę, że inna rzecz jest cel teoretyczny i odległy, inna przedmioty praktyczne i przybliżone, i jeżeli komuniści są zdania iż dziś ich sprawa jest identyczna z przywróceniem Republiki, odbudową gospodarczą, z odbudową armii demokratycznej, ze zjednoczeniem wszystkich antyfaszystów, nie ma powodu zakazywać im prowadzenia swoich działań pod tymi hasłami, ani też nakazywać im zamianę ich mityngów na wykłady socjologiczne porównujące zalety dyktatury proletariatu i dyktatury mieszczaństwa. Zresztą — pisze Hervé — „Marksizm nie wybiera środków. Społeczeństwo, w którym się znajduje, narzuca mu je”.

Atakując współczesny socjalizm, jako twórcę realizmu politycznego utopistki uparczywie się trzymają Heideggera, de Manna, Sprangera i Spenglera, którzy przyjęli z zapalem definicję jednego z nich (Spenglera): Socjalizm jest to bezosobowy azjatycki kolektywizm wschodu, drach „wielkich nizin w połączeniu z zachodnim levée en masse z 1792 roku”. Jeden z takich neo-socjalistów, spośród których rekrutują się najczęściej utopisci, którego jako przykład podaje w swojej książce P. Hervé mówi: „My jesteśmy

zbuntowani”. Autor zastanawia się przeciw komu mogą być oni zbuntowani. Na pewno nie przeciw moralności mieszczańskiej, która są przesłanką, aż do szpiku kości, ani przeciw prawom społecznym, czy politycznym, o pozostaniu których marzą. To jest bunt przeciw biegowi historii, który usuwa ich klasę z dominującego stanowiska. A z tym pogodzić się trudno. Dążeniem utopistów i humanosocjalistów jest ocalenie dotychczasowej sytuacji swojej klasy, choćby za cenę częściowego osłabienia jej wpływów. Stąd też wypływają próby dyskredytacji wrogo nastawionego do interesów mieszczaństwa socjalizmu. Wnoszenie poprawek do egalitaryzmu przez pisarzy i filozofów katolickich (np. Marpitaina) zaznacza ich dążenia do wytworzenia „demokracji organicznej, zbiegającej się z nawrotami do anarchizmu i indywidualizmu politycznego, tworzącego bunt przeciw samemu sobie.

Drugim bardzo ważnym zagadnieniem książki jest sprawa humano-socjalistów, którzy odrzucają swoją nazwę wskazując, iż inny socjalizm nie jest humanistyczny. Właśnie słowo humanizm może służyć za przykład sofistyki czasów obecnych, bo przecież istnieje obecnie ni mniej ni więcej, a trzy humanizmy: integralny, socjalistyczny, marksistowski. Wszystkie te systemy są tak sobie obce i tak ze sobą sprzeczne, iż trzeba by uznać, iż trzy znaczenia słowa: humanizm. Przymiotniki doń dodane dają co prawda pewną interpretację, ale niezupełną. Humanizm jest polityką, która chce zniwieczyć to wszystko, co płami i hańbi idee człowieka, bronić życia i radości życia, przeciw ascetyzmowi i negacji życia, budować postęp na organizacji czynnych sił, które przekształcają świat i czynią go lepszym, unieść masę ludzką poza czasy strachu i zrezygnowanej apatii”. To określenie, mniema on, jest najbliższe tym, jakie nadawali swojej epoce ludzie odrodzenia, Rabelais, Ariosto, Ronsard i Lape de Vega, Michał Anioł i Leonardo.

Jednym z podstawowych postulatów humanosocjalizmu jest t. zw. socjalizm francuski, jakgdyby socjalizm bez tego przymiotnika stworzony przez lud francuski nie był francuskim w sposób dostateczny. Przedstawiciele tego ruchu, co już jest znamienne, grupują się najczęściej dokoła kół klerikalnych, albo też wojskowych, żądają oni polityki nadludzkiej, wprost anielskiej. Ruch ów, popierany jest ze wszystkich sił przez przemysłowców i właścicieli wielkich trustów, którzy żywią, jak zaznacza autor, niezwykłą ku niemu sympatię.

Dzięki nim powstają i rozwijają się teorie metafizyczne pozornie oddalone od życia politycznego, jednak w rzeczywistości głoszące taką ideologię społeczną, jakiej natchnieniem do całego błota indywidualistycznego i sentymentalnego, które nie byłoby poważnym, gdyby nie stało się w rękach sofistów i demagogów bronią przeciw ruchowi robotnicznemu i wielkiej sprawie równouprawnienia — wola Hervé, „Powróćmy do czasów sofistów” — stwierdza. Chodzi mu w tym wypadku o wieloznaczność każdego niemal słowa. Wszyscy przeciwnicy postępu głoszą obecnie najbardziej postępowe hasła, interpretując je jedynie na swój sposób. Przecistawiają socjalizmowi marksistowskiemu socjalizm liberalny, humanistyczny w celu uratowania wolności, ale wylączając swoje.

„Odczuwam pogardę w stosunku do tego romantyzmu, do tej filozofii „budującej”, do tych umiesień, biorących swój początek w fermentacji naszych usposobień, do tych pragnień próżnych, które zadawała się istnieniem w formie pragnienia, do moralności zamiarów przytakująca kół pravicowców. Cały ów ruch humanosocjalistyczny wywodzi się, bez wątpienia ze starych teorii Spengera czy też Sorela. Dwa wymienieni filozofowie są ojcami ideologii neo-socjalistycznej i służą swoimi dowodami jako nieomylnym arsenałem filozoficznym.

„Wie się, co dały po ostatniej wojnie kuplety o prawie narodów do samostanowienia o mesjanizmie humanitarnym” wola Hervé. Humanosocjaliści prowadzą politykę samozakłamania wstawiając uprzedzić w siebie, iż niebezpieczeństwo powtórzenia sytuacji jak miało miejsce po tamtej wojnie zostało zażegnane.

Ten optymizm jest ze wszechmiar fałszywy i pozostaje w ścisłym związku z „umoralnieniem” polityki, które ma przynieść raj na ziemi. Zwalczając rzekome „utopie” służące marksistom niby jako parawan, posługują się tym samym rozumowaniem, jakie tak wyraziście ujął Nietzsche w swoim: „Ludzkie, arcyłudzkie” mówiąc, że tacy polityczni i społeczni fałszyści, którzy ogniszczą i wymownie nawołują do obalenia porządku w wierze, że zaraz potem najpiękniejsza światynia ludzkości jakoby sama przez się podźwignie się. W tych niebezpiecznych snach rozbrzmiewa jeszcze zabobon Rousseau, który wierzył w cudowną, pierwotną, ale jakoby „zaniedbaną” dobroć ludzkiej natury i przypisywał całą winę „zaniedbania” instytucjom kulturalnym w społeczeństwie, państwu i wychowaniu. Niestety, wie się z doświadczenia historycznego, że każdy przewrót odradza na nowo najdziksza energię i dawno pogrzebane okrucieństwo naj-

odleglejszych wieków. Przewrót może być źródłem siły ludzkości zamierzającej, ale nigdy czymś porządkującym, czy też udoskonalającym ludzkie usposobienia”.

Całe rozgraniczenie między humanosocjalizmem, a komunizmem wywodzi się z czasów Ruchu Oporu, któremu przeciwnicy marksizmu nadali dwie definicje. Warto by im przyjrzeć się zbliska, by zorientować się w celu, jaki mieli ci ludzie, stosując te właśnie określenia. Pierwsza koncepcja została utworzona przez Henryka Frenay i jego przyjaciół, zanim się sprzymierzyli z neo-socjalistami. Nazywał on Ruch Oporu „grupą nowych ludzi wrogo ustosunkowanych do dawnych partii, przychylnych do metod autorytatywnych rządu i rekrutujących się ze wszystkich bez różnicy klas społecznych. Druga, wychwalana i reprezentowana przez socjalistów, określała ruch oporu jako zgromadzenie ludzi o różnych przekonaniach, połączonych w walce, przede wszystkim wojskowej przeciw wrogowi, przy czym to połączenie nie byłoby niczym oryginalnym i nowym politycznie. Pierwsza z nich, wyraźnie neofaszystowska, opierała się głównie na wielkiej popularności, jaką się cieszyła w kołach t. zw. prawicy wojskowej lub klerikalnych. Druga zaś zaspakajała tych, których wyraźnie niepokoiła strona socjalna dążeń ruchu oporu ponieważ widzieli w niej niebezpieczeństwo dla zdobytych już stanowisk i wstępowali doń jedynie po to, by zapewnić sobie alibi polityczne.

Ludzi tych dwu różnych w zasadzie dążeń łączyły z sobą przede wszystkim a) paniczny strach przed bolszewizmem, b) ślepe podporządkowywanie się rozkazom pływającym z Londynu i współpracy z Intelligence Service. Różnił ich naturalnie wrogi stosunek neo-faszystów do rządów III republiki, do rozpanoszenia się w tych czasach drobnej polityki, połączony z pragnieniem silnej ręki i dyktatury, jako jedynej możliwości powstrzymania wzrostu komunizmu. Przecież ich stary nauczyciel Spengler głosił, iż liberalizm nieuchronnie do niego prowadzi. W tym właśnie punkcie rozchodziły się ich drogi, nie wskazujące gdzieindziej nawet śladów kolizji.

Przy lekturze książki P. Hervé uderza nas identyczność metod walki prowadzonej przez reakcję na całym świecie. Nie tylko u nas, ale i we Francji widać się w społeczeństwie, że nie ma faszystów, nie ma prawicy, nie ma trustów. Dowodzi to jedynie specyficznej metody odwracania uwagi od bezwzględnej istniejącej karteli przemysłowych, od lansowanego jednocześnie faszystom trochę innego typu, „spokrewnionego” z socjalizmem. Nie jest on wzorowany na ideologii Rosenberga ani nie ma wiele rzeczy wspólnych z neo-poganizmem, czy też antysemityzmem. Występuje w znacznie złagodzonej formie, mając może jakieś podobieństwo z faszystwem włoskim, z neosocjalizmem Marquet’a i Deat’a, z ludową partią francuską założoną przez Jakuba Doriot, z teoriami Julesa Romains wyłożonymi „9 lipca”, z „humanizmem” tak czule popieranego przez Anglię Salazara, no i poglądami wyłożonymi w „Poza marksizmem” de Manna. Pozostawiliby on pewną ilość urzędzień społecznych nienaruszonych, ale wprowadziłby pewne ograniczenia praw wyborczych, zmieniłby sposoby wybierania, może nawet ustanowiłby pewien statut partii, którego celem byłoby wyeliminowanie partii komunistycznej z życia politycznego Francji. Jeżeli wszystko to jest narazie utopią, to jednak, zdaniem Hervé, utopia, która w każdej chwili może się urzeczywistnić. Faszystom nie zniknęła odrzuca z życia społecznego z chwilą klęski Niemiec i Japonii.

Reasumując treść książki, której zadaniem jest przedstawienie sytuacji politycznej, jaka wytworzyła się obecnie we Francji, łatwo zrozumieć jej tytuł, „Wyzwolenie zdradzone”. Uwidacznia on w sposób wymowny niespełnienie tych polityczno-społecznych zapowiedzi, jakie głoszone w okresie konspiracji i niezrealizowanie tych hasel, pod jakimi skupiła się najlepsza część francuskiego społeczeństwa w walce z okupantem.

Lech Budrecki.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

ILIA ERENBURG

UPADEK PARYŻA

POWIEŚĆ

»K S I A Ż K A«

*) L. Hervé la libération tratie.

H. E. MICHALSKI

KSIAŻKA O NIEPOKOJU NASZYCH CZASÓW

Temat powrotu zdemobilizowanych po wojnie do domu i perypetie związane z przystosowaniem się do warunków życia w okresie pokojowym był już niejednokrotnie podejmowany w literaturze. Wystarczy wspomnieć bodaj Remarque'a z jego „Droga powrotna” czy „Przyjacielmi”. Obecnie zdobyła za granicą rozgłos poświęcona temu samemu tematowi wydana w 1945 r. książka wybitnego autora angielskiego J. B. Priestleya „Three Men in New Suits”. (Przekład p.t. „Trzej panowie w cywilu” drukuje w odcinku „Głos Ludu”). Popularność tej książki opiera się zarówno na uznaniu jak i na sprzeciwach, jakie obudziła, a uznanie i sprzeciw odnoszą się właśnie do ujęcia tematu, ujęcia wprowadzającego czytelnika w wir aktualnych spraw powojennego życia Anglii. W tym sensie jest to utwór odważny, mocny i wyjątkowy, bo prawie bez literackiego precedensu.

„Trzej panowie w cywilu” nie jest właściwie powieścią, mimo że napisana jest według wszelkich reguł dobrego tradycyjnego powieściopisarstwa. Technika powieściowa gra rolę środka, z pomocą którego autor chce zobrazować niepokój naszych czasów; wynikałyby ze starcia się myśli i dążeń tych, którzy pragną zachowania istniejącego stanu rzeczy i tych, którzy nie mogą przystać na to, by świat po wstrząsie wojennym został takim, jakim był dotąd. Priestley, uczony pisarz, śledzący uważnie procesy społeczne, pochwycił kontrasty powojennego życia swego kraju, które mogą właściwie być postawione i rozwiązane jedynie na płaszczyźnie politycznej. Zamiast jednak napisać artykuł polityczny, dał frapujące studium powieściowe.

Tym właśnie tłumaczy się prosta całkowicie konstrukcja książki, w swej prostocie prawie schematyczna i w zamierzeniu autora nie próbująca nawet zatrzeć tej świadomości, bo celującej ku tym wydatniejszemu podkreśleniu kontrastów schematyczności. Priestley, tak dbały o dotychczasowej swojej twórczości, która go wysunęła do czołowego rzędu współczesnych pisarzy angielskich, o efekt artystyczny, pragnie w ten sposób podkreślić raczej doraźny, polityczny i społeczny cel swego dzieła, niż artystyczny. Mimo ataków, jakie za to książka ściągła na niego, zamierzenie jego zostało uwiecznione powodzeniem; lektura „Trzech panów w cywilu” zostawiła silne wrażenie.

Trzej bohaterowie książki, dawni żołnierze, których wspólne przeżycia frontowe związały ze sobą na życie i śmierć, Allan Steet — inteligent arystokrata, Herbert Conford — syn farmera, Eddie Molde — robotnik, wracający po demobilizacji do swych środowisk, pozwalają dokonać jednym cięciem przekroju współczesnego społeczeństwa angielskiego. Priestley nie ma tu bynajmniej swego obrazu w barbach optymistycznych. Zetknięcie między tymi, którzy tkwiąc w okopach cały czas marzyli o tym, że świat, w którym będą prowadzili dalsze życie, musi być inny, a tymi, którzy wszystko ześrodkowują dla zachowania dotychczasowych form, obfituje w wiele kontrastów i prowadzi do dramatycznych napięć.

Stosunkowo najsłabiej ukazuje autor kontrasty środowiska robotniczego, gdzie przecież istnieją one w rzeczywistości powojennej Anglii w stopniu zaognionym. Szkieletowo potraktował również środowisko wiejskie, w którym dobitnie podkreślono nastawienie starego farmera by wycisnąć jak największe dochody z zależności miasta od dostaw rolności, przeciwstawia się nieokreślona myśl zdemobilizowanego Herberta o konieczności ulżenia tych stosunków między miastem a wsią na płaszczyźnie współpracy. Stary pastuch, który po przeprowadzeniu na fermie kilkudziesięciu lat konstatuje, że nie jest nadal niczym innym, jak tylko zależnym pastuchem, jest w tym szkicu danym przez Priestleya punktem uzupełniającym, który wskazuje, że bakcył marzeń o zmianie przyniesiony przez zdemobilizowanego wojaka kielkuje także na rodzimym gruncie.

Główna troska książki — to obraz środowiska inteligentnego, ściśle warstwy arystokratycznej. Obraz to naprawdę po mistrzowsku zróżnicowany, poprostu anatomia angielskiej elity społecznej, odsłonięta nieublaganiem w celności cięcia skalpela chirurga, dążącego do ujawnienia siedliska schorzenia.

Kapitałna w tej galerii jest postać wuja Rod neya, postać jakby zablakana z czasów, które minęły, anarchiczna, lecz zdająca sobie przy tym wszystkim sprawę ze swej niemożności przystosowania się do rzeczywistości, która budzi przerażenie, i dlatego celebująca resztkę swego życia jako labedzi śpiew minionej epoki, której koniec równy jest końcowi świata. Przerażony nową rzeczywistością jest również stary wikary Talgart, operujący jedynie symbolami i wersetami Apokalipsy.

Z drugiej strony stoja jednak ci, którzy bynajmniej nie chcą ustąpić przed naporem nowej rzeczywistości. Taki jest pułk. Southam, który uważa że po skończeniu wojny „przyszli czas, aby pomartwić się o to, by kraj był rza-

dzony jak należy”, gdyż „wszędzie są niebezpieczne idee” i „niebezpieczni ludzie”. Taki jest lord Darraid, który ze szczytu posiadanej władzy nie dopuszcza nawet wątpliwości, aby klasa jego mogła przestać być klasą rządzącą. „Nie będzie żadnych niepokojów” — oto jego wiara, według której wystarczy dać tym, którzy oczekują nowości, tylko chleba i igrzysk.

Trzej młodzi w cywilu nie mogą jednak przystać na to, że oni, którzy cały czas wojny żyli marzeniem, że będzie inaczej, mają przystosować się do rzeczywistości, która jest sprzeczna z tym, czego oczekiwali. Marzenie ich nie ma jeszcze kształtów określonych. Po prostu wynikło to jako nauka z tego, co zobaczyli. Doświadczenie to syn farmera, Herbert, ujmując w następujących słowach: „W tych miejscach, w których byłem, ci ludzie, których nazywacie czerwonymi, zwyciężyli dlatego, że cały czas walczyli z hitlerowcami. A ludzie innego rodzaju, ci, którzy boją się czerwonych współpracowali z hitlerowcami. I dlatego ich zrzucano”.

Perypetie, jakie każdy z trzech zdemobilizowanych przeszedł w ciągu kilku dni bezpośrednio po powrocie w rodzinne strony, zwiększyły jeszcze niepewność i niepokój z jakim stawali wobec rzeczywistości. Soliarność, nabyta w przeżyciach frontowych, każe im znowu stanąć obok siebie. Nie mają już

świadomości, czego chcą i co robią. Wiedzą jednak, że nie mogą się zgodzić na to, co każdemu z nich z osobna kładzie ich otoczenie do głowy. Wiedzą także, że nie są jedyni. Tym samym bakcyłem marzenia o zmianie zarażony jest ów stary pastuch Charlie oraz robotnik z fabryki samolotów Doris, z którą poznał się Herbert. Obok nich stała również siostra Streeta Diana, która chciałaby „więcej kochać ludzi”.

Allan, traktowany przez Priestleya z widoczną sympatią i grający rolę jego porte-parole, mówi w zakończeniu książki: „Każda epoka jest Sfinxem, który spada w otchłań, jak tylko jego zagadka jest rozwiązana. I ja wiem teraz, co jest zagadką naszej epoki. Nie polega ona na tym, aby wydać kilka niezwykle utalentowanych osobistości, aby zabezpieczyć nieliczną warstwę największe rozkosze i subtelności, aby dać małym grupom ogromną władzę, aby stworzyć dwa lub trzy wspaniałe pomniki nauki i sztuki. Człowiek współczesny — to przede wszystkim człowiek współdziałający ze zbiorowiskiem. W stopniu większym, niż ludzie kiedykolwiek działali przedtem, czynimy nie to, co leży w zakresie jednego człowieka, lecz to, co trzeba czynić wspólnie. Zadanie, które musimy wypełnić — inaczej Sfinks przyniesie nam zagładę — polega na tym by sprowadzić ułamek obecnej zbiorowej pracy do jak największego wspólnego

go mianownika. Jest w nas coś, co nie zazna spokoju, co nie znajdzie trwałego zadowolenia, dopóki większość rodzaju ludzkiego będzie żyć w nędzy, w ciemności, w rozpacz. Powinniśmy znaleźć wreszcie wiarę w ludzi, współczucie z ludźmi obojętnie na to — białe ich twarze brązowe, czy czarne. Ta nadzieja na dom na ziemi, ta wiara, to współczucie okazują się teraz podstawą naszego życia. Polityka, ekonomia, psychologia, filozofia, religia, chociaż przemawiają odmiennymi językami, wskazują jedną i tę samą drogę. Nie ma wyboru: albo ziemia stanie się wkrótce żalosną mogiłą naszego gatunku, albo stanie się wreszcie naszym domem, gdzie człowiek będzie mógł żyć w pokoju i pracować dla szczęścia innych”.

Ten akcent, kończący powieść, przypomina jeszcze raz ów świadomie wybrany przez Priestleya schemat, z pomocą którego chciał jak najjaśniej ukazać niepokój naszych czasów. Schemat ten był potrzebny ze względu na cel, jakim było rozpatrzenie spraw, nadających się do rozwiązania bardziej na płaszczyźnie politycznej, niż artystycznej. Książka zyskała w ten sposób na wyrazistości, a nie straciła równocześnie nic dzięki talentowi autora z przekonującej wynowy artystycznej.

H. E. MICHALSKI.

ZYGMUNT FIJAS

rys. Mieczysław Piotrowski

Mój system katastroficznego

Wiem, że katastrofizm jest wykroczeniem przeciwko zdrowemu rozsądkowi. Wiem, że jest nonsensem. Doskonale zdaję sobie sprawę z kłeski, do jakiej doprowadził ten system Noego i innych biblijnych katastrofistów. Wiem także, co zrobiłby z takiego Joba, gdyby ten był niecierpliwym. Niestety, czy to na skutek wyjazdu Miłosa z Zagórskiego, czy powrotu autora „Balu Salomona”, czy to z powodu nagrodzenia powieści mającej za temat „Mury Jerycha”, przechyliłam się coraz bardziej na stronę katastroficzną.

Nie widzę żadnego wyjścia z marni, w jaką popadł nasz świat. Któregoś dnia nadużywane siły natury wypowiedzą nam posłuszeństwo i ostry miecz Damoklesa rozłupie nasz glob jak zgniatą dynię.

Nie będzie potrzeby do tego ani pomocy Jansana, ani Laplace'a, ani Einsteina, ani wileńskich katastrofistów.

Po prostu prolongata, jakiej udzieliła nam natura od czasów jasnovidzącego Beaumarchaisego skończy się i rozleciemy się w proch, panowie szlachta.

Jaka koncepcja astronomiczna powstanie na miejsce naszego globu, czy będzie to koncepcja dorywcza, już z góry skazana na nową zagładę, czy będzie to glob na dłuższe chodzenie, tego nie wiem. Wiem, że będzie koniec, i więcej proszę mnie pytaniami nie zadreżać.

Ponieważ jednak każda zagłada apokaliptyczna, do takiej zaliczyć wypada zmierzchnię naszego globu, poprzedzona bywa znakami na niebie i ziemi, przeto koniec nasz będzie poprzedzala taka kolejność niebieskich ostrzeżeń:



Nasampród odbędą się pokazy bomby atomowej, w których weźmie udział czterysta tysięcy kóz szwajcarskich, milion kogutów, dwa miliony kwok i cztery miliardy zgnitych jaj. Potem z Pałacu Luksemburskiego zostanie skradziony bagaż dyplomatyczny, w postaci

dwudziestu pięciu wader świeżo nawarzonego przez Anglików piwa, dziesięciu kwintali amerykańskiej gumy do żucia, czterech hektolitrow atramentu i stu buszli kauczkowych pieczątek.

Po tym zdarzeniu, które wstrząsnęło do podszewki opozycją, obywatel William Rompala z Connecticut i obywatelka Margaret Cienciała z Ohio postawią wniosek o natychmiastowe przekazanie do Polski dwu milionów łogów do czerwania kałesonów, czterdziestu tysięcy kwintali proszku od bólu zębów, dwanaście milionów pastylek przeciwko moskitom i sześć tysięcy mil morskich kiełbasy wyborczej. Transport ten zostanie przewieziony na wielbłądach drogą suchą przez Dardanele, gdyż cieśnina ta będzie na złość Anglikom zatkana i osuszona wraz z całym basenem Czarnomorskim.

Wielbłądy te będą się odznaczać niezwykle żarłocznością, staną się podstawą naszej polityki kolonialnej, z czasem zupełnie zrewolucjonizują taktykę kawalerii, ponieważ będą mięsożerne.

Wiadomość o tym zaszczytnym wyróżnieniu naszego kraju nie przejdzie bez wstrząsu.

Wstrząsem tym będzie urządzona w Łodzi wielka akademii katastroficznego, uroczysta rozdaniem podobizn Hlonda, Waltera z Vogelwajdy i Józefa Bakil. Na akademii przemawiać będzie obywatel Adam Ważyk, który w swym siedemnastogodzinnym przemówieniu wznieś kilkakrotnie okrzyk na cześć nieskazitelnego charakteru wielbłądów.

Równocześnie w Krakowie odbędzie się drugi wstrząs. Będzie nim wielki festiwal muzyczny - gimnastycznym na Wawelu, na którego treść złożą się: 1) Koncert fortepianowy na cztery prawe ręce i dwie lewe nogi Maklakiewiczza, 2) Suita okolicznościowa na obój, pilę i termofor Panufika, tak zwana „Symfonia wraz z odnoszeniem do domu”, 3) Muzyka kalendarzowa Ziemiomysla z Hulajęb i Mściława z Samopiet w opracowaniu prof. Zdzisława Jachimeckiego, prof. Józefa Reissa i Grzymisławy Mściwulewskiej.

Podczas tego festiwalu zespół poznańskich gimnastyków radiowych wykona następujące ćwiczenia: 1) Unoszenie prawego kolana nad lewy obojczyk wraz z równoczesnym przekazywaniem prawego obojczyka nad lewe kolano, 2) chwytywanie bódor w postawie rozkrocznej stosownie do jednoczesnego wymachu ramion wprzód, 3) prawostronny grzbietoskret górnej połowy tułowia wraz z przewijaniem tyłoprodu w przodogrzbiet.

Po wykonaniu tych ćwiczeń, uroczystych koniwersjerką Stefana Otwinowskiego, wiele osób dostanie pomieszania zmysłów, z którego skorzysta poeta Juliusz Wirski w celu wygłoszenia kilku przemówień.

Bezpośrednio po zakończeniu festiwalu wszyscy nasi wycieczkowie zostaną przerobieni w Paryżu na ryż. W czasie uroczystego przerabiania naszych pisarzy przemawiać będzie obywatel Artur Sandauer. Znakomity krytyk podnieśnie ważność przeróbki, dla ogólnego tonu kulturalnego, uczył przedstawicieli paryskiego młynarstwa wielomutowym milczeniem, poczym zostanie bezzwłocznie przetworzony na krochmal. W czasie przetwarzania Artura Sandauera przemawiać będzie Pa-

wel Hertz, który zaraz zostanie przerobiony na pudełko ryżowego pudru a w końcu na wniosek pewnego piekarza katastrofisty na paczkę drożdży. Potem pojawi się nad Łodzią widmo Tadeusza Pejpera i przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy będzie padał deszcz na-



gród. Podczas deszczu znak ryb wejdzie w znak byka, znak byka w znak raka, znak raka w znak strzelca, znak strzelca w znak panny, i potem znak panny wejdzie w znak bliźniąt, znak strzelca w znak koziorożca i nastanie czterdnastodniowe katastroficznego milczenia.

W czasie tego milczenia mnóstwo osób przewróci się z boku na bok, poczym upewniwszy się, że ściana jest zmina, przewróci się powtórnie z boku na bok.

Jaki będzie dalszy przebieg katastrofy. Czy zagłada będzie miała charakter zakulisowy, czy bezpośredni, czy Urząd Kontroli Widowisk zajmie wobec mnie stanowisko aprobatywne, czy negatywne, na te pytania jeszcze odpowiedzieć nie można.

W każdym razie, czy tak będzie, czy inaczej, któregoś dnia wzburzone masy H₂O i tak rozerwą bulwary Czytelnika, wdrą się w głąb basenów Odrodzenia, Twórczości, Kuźnicy, rozsadaż rurociągi agencji prasowych, rozmyją na nie redaktorów prasy prowincjonalnej i, mimo tak wydatnego wiązania wody przez naszych felietonistów, spowodują katastrofę.

Dalszy ciąg katastrofy zależny jest od zaistnienia wielu czynników, które w zależności od tego, czy w danym momencie i t.d. i t.d.

Mogę was jednak zapewnić, iż piorun nie strzela nigdy w główki kapusty. Ta prawda pozwoli Wam przetrwać nie jedno. Powtarzając ją przeto z lubości do końca, to znaczą do katastrofy, która zbliża się z zastraszającą szybkością.

ZYGMUNT FIJAS.

ROZMAITOŚCI

Rasologia i twórczość

Przeglądając obfity numer podwójny „Twórczości” (lipiec — sierpień), natrafiam na dwie pozycje egzotyczne, obie z terenu amerykańskiego. Urywki z „Pieśni o Hajawacie” Longfellowa i urywki z pieśni murzyńskich „Kongo” Vachela Lindsaya. Oba utwory opatrzone wstępami. Chociaż doświadczeni ludzie ostrzegali mnie, abym nigdy nie czytywał wstępów, — dałem się skusić — i oto: „Kiedy czarni traktowani są po dziś dzień w Stanach Zjednoczonych z mnóstwem rasowych przesądów i fobii, czerwonoskórych te przesady nie dotyczą. Niemala w tym zasługa pisarzy — Longfellowa przede wszystkim”. Czy przypadkiem nasi dobrodusze literaci nie przeceniają wpływu pisarzy na stosunki międzyrasowe. W latach mojego dzieciństwa każdy młodociany czytelnik Fenimore’a Coopera wiedział doskonale, że nędzne szczątki ludów czerwonoskórych w Stanach Zjednoczonych mieszkają w rezerwach, praktycznie odizolowane od świata i kultury białej rasy, pozbawione możliwości udziału w życiu publicznym. Czy to ma być właśnie zasługą Longfellowa?

W latach międzywojennych widziałem piękne zdjęcie reportera prasowego, przedstawiające wodza indiańskiego, który wręcza Albertowi Einsteinowi pierzastą przepaskę na głowę, honorowe godło wodza, coś w rodzaju honorowego dyplomu uniwersytetu w Howard. Widok, który rozczulał amatorów egzotyki, powinien być głęboko zawstydić każdego humanistę. Zdrzemnąłem się nieco nad lekturą Longfellowa, bo trzeba wyznać, że do snu uśpiałem, i przysnęło mi się, że czytam w r. 1986 w amerykańskim czasopiśmie „Twórczość” pocieszającą notatkę o tym, że od czasu, jak znakomity niemiecki poeta napisał pieśń o Gorallenvolku, nikt już na kontynentalnym terenie Trzeciej Rzeszy nie poluje z automatem na ostatnich słowian spokojnie żyjących w powiatowym rezerwie w ziemiach dawnego G. G. Zbudziłem się i na szczęście przypomniałem sobie, że jednak Hitler nie wygrał wojny, chociaż podsekretarz stanu w Ameryce pan Byrnes sądzi inaczej.

Sprawa czerwonoskórych w Stanach Zjednoczonych praktycznie przestała istnieć, jest natomiast palącą sprawą murzyńska. Ten sam numer „Twórczości” zaznajamia czytelnika polskiego z Vachelem Lindsajem piewą murzynów. Znam nieco murzyńską poezję afrykańską, znam bajki z Kongo bardziej wzruszające niż najsłynniejsze, z wysoką kulturą mieszczańską skomponowane bajki Andersena. Wiem również coś nie coś o murzyńskim folklorze w Ameryce, o tej twórczości ludowej, w której poczucie niedoli i krzywdy przelewa się w nawiąnię mistykę. Vachel Lindsay nie był piewą murzynów, był tylko menadżerem egzotyki. Twórczość tego Amerykanina była przede wszystkim produktem rozkładowym cywilizacji białych, którzy w ucieczce przed motywami rozumowymi i uczuciowymi zachlustywali się bujną, biologiczną pierwotną grą instynktów, skakali w objęcia barbarzyństwa. Lindsay dojrzał w pieśniach Konga to właśnie, co rad był dożyć w nich konsument amerykański i europejski, Lindsay pokochał murzynów najbardziej krzywdzących, najsłabszą miłością. Tak samo zachwycił się czarnym łądem i ogłaszał się piewą czarnej krwi we Francji sensualista Paul Morand, z początku tylko duchowy faszysta, później zwyczajny służka Hitlera.

Czas chyba, aby pismo, które chce być poważnym pismem literackim, jak „Twórczość” nieco krytycznie spojrzęło na te sprawy. Doświadczenie historyczne powinno nas przecieć i w dziedzinie kultury oświecić. Bez krytyczna metoda informowania czytelników, która w latach międzywojennych uchodziła za niewinną i obiektywną, w roku 1946 nie uchodzi. Dowiedziałem się wprawdzie z „Twórczości”, że „olbrzymie powodzenie produkcji artystycznych odbiło się ujemnie na dalszej twórczości poetyckiej Lindsaya”, ale równocześnie przeczytałem takie piękne refleksje rasologiczne na temat pochodzenia tego Amerykanina: „Celtycka i indiańska fantazja kała młodemu Vachelowi kierować się w dziedzinie twórczości artystycznej, iść do instytucji w Chicago i New Yorku”. Na usprawiedliwienie autora mu-

szą przyznać, że tak się pisuje od lat kilkudziesięciu, że to już nieledwie zwrot frazeologiczny. Bo to i ładnie brzmi, i zgrabnie wiąże wątek, i w ogóle nic nie znaczy. Wystarczy wziąć metrykę babki i dziadka, a bezmyślne słowa same się układają: „Fantazja słowiańska z połączeniem z anglosaską trzeźwością”, „Galijska fantazja z domieszką ciężkiej krwi lewantyńskiej”, „Temperament Greków i Wikinów, połączony z litewskim uporem”. Tak się pisuje. Idzie właśnie o to, żeby z tą zabawą skończyć w imię szacunku dla czytelnika.

Nie mam zamiaru, przynajmniej w tym wypadku, nikomu dokuczyć, traktuję to jako przykłady nieodpowiedzialności za poglądy i słowa, bałamuctwa, z którym literaci dzisiaj, po kilkuletniej rasistowskiej mordowni, powinni ostro walczyć. Mam przed sobą ciekawy i smutny dokument, w którym czytam: „Tradycje przedwojenne eliminowały przeważnie z programu wykształcenia pisarzy dziedziny wiedzy poza literackie... Pisarz nawet zaawansowany w problematyce z zakresu nauk humanistycznych, miał wybitne luki w strukturze swojego światopoglądu”. Tak pisze departament literatury w projekcie organizacji studium literackiego rozesłanym do rozpatrzenia oddziałom Związku Zawod. Literatów Polskich. W trosce przede wszystkim o młodzież literacką Departament Literatury chciałby wprowadzić przy Oddziałach Związku odpowiednie wykładki. Projekt traci utopię, nie tylko z powodu braku wykładowców. Kierunek studiów jest sprawą ideologiczną i w praktyce zależy od grup ideologicznych. A tutaj ślepy chciałby jednoosobnie prowadzić. Projekt ministerialny obok rzeczy istotnych i słusznych zawiera kilka ekstrawagancji własnie z przedwojennej tradycji, na ten raz niech wystarczy tylko proponowana literatura na 7-ym miejscu listy typologia Ernesta Kreczmera. Czemu nie mitologia Alfreda Rosenberga? Urzędnicy Ministerstwa nie sprzecywali, czy chcą nas uczyć typologii temperamentu w pierwotnym wydaniu, czy w późniejszym udoskonalonym po rasistowsku. Możeby wreszcie asteniczni pyknicy zrozumieli, że nie wszystko, co w ostatnich lat kilkudziesięciu wymyślono w Europie pod szyldem naukowym, przynosi chlubę nauce europejskiej. My się już na Kreczmerów nie damy nabrać i nie chcemy, ażeby nas urzędnik ministerialny traktował jak Lindsay dzikusów z Kongo. Wolimy już poprzestać na starej, nikomu niepotrzebnej, ale i nikogo nie oślepiającej klasyfikacji z psychologii klasycznej. Bo my jesteśmy cholerycy.

Adam Ważyk

PRZEGŁĄD PRASY

Ukazał się pierwszy zeszyt wznowionego „Przeglądu filozoficznego”, noszący jako kontynuacja wydawnictwa przerwanej przez wojnę, numerację, nadającą mu charakter zeszytu, zamykającego całość, która nie mogła ukazać się w roku 1939. Na numer składają się rozprawy St. Ign. Witkiewicza „O idealizmie i realizmie”, oraz J. Pietera „Wstęp do teorii zjawisk moralnych”. W przedmowie czytamy, że redakcja, nie mogąc uczynić zeszytu obecnego dokładnym powtórzeniem złożonego do druku w dniu 1 września 1939 roku, gdyż zarówno rękopisy, jak i odbitki korekty spłonęły, umieszcza inne rozprawy tych samych autorów, z których jeden — St. Ign. Witkiewicz — zmarł tragicznie na samym początku wojny. Rozprawy Witkiewicza i Pietera zostały wydane jednocześnie w formie oddzielnych odbitek i wymagają specjalnego omówienia krytycznego. Uzupełnienie treści zeszytu stanowi zbiór wspomnień o filozofach zmarłych w czasie wojny i pożyteczny jako bibliografia rejestr treści XXVI — XLII roczników „Przeglądu Filozoficznego” (lata 1923 do 1946). W nekrologach, zespolonym dziele pozostałych przy życiu filozofów polskich, znajdujemy nazwiska ogromnej ilości zmarłych naukowców, czynnych w dziedzinie filozofii, że wymienimy tylko, prócz wspomnianego wyżej St. I. Witkiewicza, nazwiska: Z. Lempickiego, Wł. Spasowskiego, L. Chwistka, J. Metelmana, Rudniańskiego, Kosińskiego, Sęgała, Zielińskiego, L. i E. Blausteinów, ks. J. Salamuchy, E. Fraenkielasa. Redaktorem naczelnym „Przeglądu Filozoficznego” jest prof. Wł. Tatarkiewicz, do Komitetu Redakcyjnego wchodzi profesorowie: Ajdukiewicz, Znamierowski, Czeżowski, Lande i Jakubanis.

Wydawany przez Tow. Uniwersytetów Robotniczych (TUR) i posiadający świetną przed wojenną tradycję miesięcznik popularno - naukowy „Wiedza i Życie” pod redakcją Stanisława Podwysokiego w podwójnym wakacyjnym numerze powrócił niemal całkowicie do dobrej formy przedwojennej. Bogaty dobór starannie pod względem redakcyjnym rozplanowanego materiału, dobrze dobrana strona ilustracyjna i całość szaty graficznej numeru stawiają „Wiedzę i Życie” w rzędzie pism, które powinny znaleźć wielu chętnych czytelników, i którym należy życzyć jak najpomyślniejszego rozwoju. Pod względem układu numer podzielony jest na cztery części: 1) artykuły i rozprawy, 2) zagadnienia bieżące, 3) wiedza i technika i 4) dział pracy oświatowej. Wydaje się, że układ ten jest w założeniu trafny, o ile chodzi o rozdzielenie zagadnień zasadniczych od ciekawostek z dziedziny wiedzy i od technicznych zagadnień kształcenia - oświatowych, natomiast przy tej treści, jaką przynosi obecnie pierwsza, zasadnicza część numeru, budzi zastrzeżenia rozgraniczenia zagadnień zasadniczych od zagadnień bieżących. Wywołuje ono wrażenie, jakgdyby cechą artykułów i rozpraw zasadniczych był z reguły ich brak związku z chwilą obecną.

Z artykułów i rozpraw części pierwszej na wyróżnienie zasługują przede wszystkim: Mariana Grotowskiego rozprawka o Newtonie i Kartezjuszu, Dezyderego Szymkiewicza — popularny szkic o wyższej matematyce, J. Szczołowskiego „O poznawaniu faktów społecz-

nych”, St. Kowalskiego o zagadnieniu migracji, T. Czyżowskiego o „pożyteczności błędów” i Henryka Jabłońskiego szkic z historii początków polskiego socjalizmu.

W cennej i pouczającej pracy M. Wallisa o roli „martwych natur” w malarstwie, wolelibyśmy nie spotykać się z pojęciem „przedmiotów uduchowionych”, równie nietrafnym co przeciwstawiane mu i krytykowane, tradycyjne pojęcie „martwej natury”. Zastrzeżenia budzą też końcowe idealistyczne wnioski instruktynowej rozprawki prof. St. Ossowskiego o dualizmie natury ludzkiej, oraz de manowskie, psychologizujące inklinacje uczciwej i rozumnej, jeśli brnąć ją w oderwaniu, ale dość prowokacyjnie pięknoduchowskiej w dzisiejszej sytuacji politycznej pracy J. Strzeleckiego o socjalistycznym humanizmie. W ogóle niebezpieczny jest zakradający się do niektórych artykułów „Wiedzy i Życia”, wraz z popularyzatorskim dążeniem do obiektywizmu — ton klerkowski, ponadhistoryczny moralizatorstwa, a już całkowicie należałoby naszym zdaniem unikać w piśmie poświęconym celom poznawczym tak ogólnikowych i niewykarczających poza oczywistość pouczeń, jak zawarte w szkicu B. Gaweckiego „O kształceniu charakteru”, zamiast których przydałyby się artykuły ujmujące bardziej krytycznie choćby zagadnienie używanych przez Gaweckiego bez analizy z punktu widzenia prądów nauki nowoczesnej takich terminów, jak „charakter”, „temperament sangwiniczny” i t.p.

Z punktu widzenia całości bogatego w treść numeru są to oczywiście usterki, trudne do eliminacji, zważywszy na warunki, z jakimi ma do czynienia redakcja przy istniejących możliwościach w zdobyciu odpowiedniego materiału. Tym bardziej podziwiać należy wysiłek, jaki włożono w opracowanie pisma dobrze skomponowanego, bogatego w treść i utrzymanego na wysokim poziomie. Wśród zagadnień bieżących znajdujemy m. in. ciekawy i sumienny przegląd wydarzeń politycznych L. Przemskiego, dokonanie interesującego artykułu Z. Kałużyńskiego o teatrze (omówienie roli teatru monumentalnego L. Schillera) i recenzję J. Hochfelda z książki Tołwińskiego o gospodarce samorządowej.

Przeglądając ostatnie numery „Kuznicy” i „Odrodzenia” stwierdziliśmy, że polska prasa literacka pozyskała dwu cennych współpracowników w osobach hr. Ciano i Stanisława Cata-Mackiewicza. Niepozabawione pikantierii jest stwierdzenie, że zmysł realizmu politycznego tego na antypodach współczesnej polskiej myśli politycznej stojącego publicysty, podyktował mu na temat egzotyki polskiego sojuszu wojskowego z Anglią w r. 1939 uwagi tak bardzo zbiegające się z punktem widzenia choćby omawianej przez „Kuznicę” książki plk. Kirchmayera. Oczywiście nie trzeba dodawać, że Cat - Mackiewicz pojawiający się na łamach „Odrodzenia” przeszedł staranną cenzurę...

Dokuczysz w poprzednim numerze „Życiu Literackim” za anachronistyczne tendencje w patrzeniu na nasz ruch kulturalny - wydawniczy i dostrzeganie tylko zjawisk typu m. in. krajoznawczego „Ziem”, nie chcielibyśmy, aby nas posądzono o lekceważący stosunek do tego sympatycznego pisma. Sierpniowy jego numer przynosi ciekawą rozprawkę prof. T. Vetulaniego „Co słyhać w puszczy białowieskiej?”, informującą o tym zupełnie zapomnianym i stowiówym dziś najdalsze kresy naszym rezerwie przyrodniczym. Ciekawe jest też przypomnienie o Zaporze Roznowskiej i sprawozdanie z turystycznej penetracji na tereny ziem zachodnich. Dobrze napisany przegląd prasy, dotyczący krajoznawstwa, zaznacza słuszny stosunek pisma do zagadnienia regionalizmu.

Na słuszny i trafny pogląd, odnośnie funkcji ośrodków regionalnych wskazuje w innej mierze sposób redagowania świetnego i często przez nasz przegląd prasy cytowanego lubelskiego dwutygodnika społeczno-ośw. „Światło”, mogącego służyć za wzór tego rodzaju czasopism. Nie można tego nieświsty, powiedzieć, ani o świętującym jubileusz rocznej egzystencji, o wiele ładniejszym zewnątrznie i o wiele uboższym w dobrą i pożyteczną treść — „Zdroju”, ani o słabutkich, kieleckich „Cychrach”, bardzo dobitnie i znamienne świadczących o małych możliwościach kulturalnych miast, które kiedyś wydało Zeromskiego, a dziś wydaje sprawców żydowskich pogromów. I „Zdrój” i „Cychry” wskazują na to, że wydawanie pisma poświęconego zagadnieniom kulturalnym na polskiej prowincji jest niemal syzyfową pracą, jeśli ma służyć rozwojowi ambicji drugorzędnych kandydatów na publicystów i poetów, a jedyną funkcją tego rodzaju periodyków może być istotnie „upowszechnianie kultury” (a nie pisanie o upowszechnianiu) t.j. rozprowadzanie tej pełnowartościowych przejawów tam, gdzie nie docierają one bezpośrednio. Cóż, kiedy o dobrych popularyzatorów jest, jak widać, na prowincji jeszcze trudniej niż o samodzielną myśl twórczą.

r. m.

LIST DO REDAKCJI

Do Redakcji „Kuznicy”

Wyjaśnienie dla prof. O. Górki w sprawie genealogii inteligencji polskiej.

Ciąży na mnie obowiązek wyjaśnienia zwrotu, użytego w moim przyczynku do sprawy genealogii inteligencji polskiej w nr. 12 (30) „Kuznicy”, który opacznie zrozumiany przez prof. Olgierda Górke wywołał z jego strony w nr. 30 „Kuznicy” kilka przytoczeń obalających moje rzekome twierdzenie. Wina jest oczywiście, jak w każdym wypadku niezrozumienia pisma przez czytelnika, po stronie pisarza, t.j. mojej. Ale umieszczając zdanie, że „stopień oficerski u nas automatycznie uszlachecał” w kontekście wyszczególnienia składników nieszlacheckich, a raczej nie-ziemiańskich, które weszły w skład inteligencji polskiej 19-go wieku (w tym samym okresie wspominając jako przeszłość Wielki Sejm wojny rewolucyjnej Francji), miałem na myśli (przypuszczałem, iż to będzie zrozumiałe dla czytelnika) warunki przejścia do stanu szlacheckiego nie za czasów dawnej Rzplitej, lecz pod rządami zaborców. Otóż o ile pamiętam, wywód przed Heroldją Królestwa Polskiego (Kongresowego), w czasach gdy najbardziej była czynna, t.j. za czasów paskiewiczowskich, mógł być dokonany, między innymi sposobami, także wykazaniem wśród przodków po mieczu oficera W.P. Ten bardzo liberalny przepis (jak liberalna w ogóle była ta instytucja, w porównaniu z formalistyczną, nastawioną tendencyjnie w kierunku zmniejszenia ilościowego uprzywilejowanych stanowi Polaków, heroldja rosyjską, działającą na terenie Litwy i Rusi) automatycznie uszlachecał tę patriotycznie usposobioną inteligencję mie-

szczańska, która dostarczała znacznej części korpusu oficerskiego cudzoziemskiemu automatu, a potem regularnym wojskom Rzplitej, Legionów, Ks. Warszawskiego, Królestwa Kongresowego. Fakt ten nie przeczy mojej teorii o dawniejszej, niż zurbanizowanie b. ziemiaństwa w 19-tym w. warstwie inteligencji polskiej, choć formalnie, „de iure”, popiera legendę o przeważnie szlacheckiej jej genealogii.

K. W. ZAWODZIŃSKI.

Oświadczenie Zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich oddział w Łodzi

Wobec tego, że Ministerstwo Kultury i Sztuki ogłosiło w prasie komunikat z dnia 26 sierpnia 1946 r. zalecający zaniechania wszelkich publicznych oświadczeń w sprawie sporu między Janem Brzechwą, a wydawnictwem Kuthana, ponieważ jak twierdzi komunikat, „sprawa zgłoszona do Ministerstwa” — Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich Oddział w Łodzi oświadcza, że obrona materialnych i moralnych interesów pisarzy jest obowiązkiem statutowym Związku i stanowi istotny sens jego istnienia. Z obowiązku tego organizacja związkowa nie może rezygnować. Co zaś do rozstrzygnięcia sporu między literatami — a wydawcami w myśl obowiązującej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z marca 1921 roku, należy ono do kompetencji władz sądowych, a nie władz administracyjnych.

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich Oddział w Łodzi

N O T Y

Na marginesie mowy Byrnesa

Ciekawą uwagę na marginesie mowy Byrnesa zamieszcza Campbell w „Daily Worker”. Niejeden pragnąłby wiedzieć, co napisałaby prasa światowa, gdyby Molotow udał się do Lipska lub Berlina w celu podania do wiadomości o wytycznych nowej polityki radzieckiej w stosunku do Niemiec. Pomijając wielkie oburzenie, prasa poruszyłaby dwa punkty: 1) dlaczego nie wyjawiał przedtem swej polityki sojusznikom, 2) czy jego wizyta w Niemczech nie miała na celu uzyskania poparcia ze strony Niemiec przeciwko któremukolwiek z sojuszników. Molotow nie postąpił w ten sposób. Jego propozycje względem Niemiec zostały najpierw przedstawione Radzie ministrów spraw zagranicznych. Byrnes natomiast pominął Radę ministrów spraw zagranicznych i zwrócił się z bezpośrednim wezwaniem do Niemców.

Jeszcze jeden kolekcjoner

Pisaliśmy już kiedyś na tym miejscu o pałacu kolekcjonerskiej, szalejącej, jak talizm, w szeregu amerykańskiej armii okupacyjnej. Okazuje się, że nie tylko biżuteria i zegarki, ale również dzieła sztuki cieszą się wielkim powodzeniem wśród kolekcjonerów.

Do Sądu wojkowego w Berlinie sprowadzono ze Stanów Zjednoczonych kapitana Normana Byrnesa, który — jako szef okupacyjnego zarządu amerykańskiego do spraw kultury i sztuki — zabral ze sobą wyjeżdżając z Niemiec wiele cennych dzieł sztuki starych mistrzów — Dürera, Teniersa i innych.

Kult piękna jest niewątpliwie rzeczą chwalebną — i nie dziwnego, że właśnie szef wydziału kultury i sztuki hołdował tej szlachetnej namiętności.

Co to jest demokracja?

Dowiadujemy się o tym z „Orla Białego”

„Podczas gdy do niedawna jeszcze — czytamy w 32 numerze tego pisma z dn. 11 sierpnia — rokowania w przemyśle włoskim, między związkami robotniczymi i przemysłowcami, odbywały się pod jednostronnym naciskiem komitetów fabrycznych i pod nieustanną groźbą rozruchów i strajków — to dzisiaj szale wyrównały się o tyle, że konferencja Przemysłowców ośmieliła się nawet zerwać rokowania w drażliwej kwestii wypowiedzenia pracy... Nie wchodząc w meritum tej sprawy, notujemy tylko sam fakt (jeszcze przed miesiącem we Włoszech nie do pomyślenia), jako dowód ewolucji stosunków w kierunku swobód demokratycznych (sic!), zapewniających wszystkim warstwom społecznym jednakowe prawo obrony swoich zasad i interesów”.

Cynizm tej wypowiedzi nie wymaga komentarzy.

Jeśli tak rozumieją redaktorzy „Orla Białego” „swobody demokratyczne”, to do prawdy słusznie robią nie wracając do kraju.

Amon Goeth — bestia apokalipsy

Przeglądając prasę warszawską przeczytałem interesujące, lecz nieco surrealistyczne dygresje Janiny Wierzbowskiej na temat procesu kata krakowskiego getta Amona Goetha.

Oto co pisze autorka felietonu p. t. „Nigdy więcej”.

Patrzę na swoje wyciągnięte ręce i — na ręce Amona Goetha, robię moimi rękami te same ruchy co on w tej chwili swymi — widzę, że ma takie same oczy, usta, podbródek jak wszyscy inni ludzie i — to jest właśnie najtrudniejsze do zniesienia.

Gdyby Amon Goeth miał róg, jedno straszliwe oko, ziębiace ogniem, sło wem, gdyby wyglądał jak bestia, byłoby to wszystko łatwiejsze do zrozumienia.

Wszystko to bardzo ciekawe i psychologicznie uzasadnione, brudzą tylko te „rogi” i „jedno straszliwe oko ziębiace ogniem”, gdyż gdyby rzeczywiście, jak sobie tego życzy autorka felietonu, Amon Goeth miał róg i oko ziębiace ogniem, byłby upadłym aniołem apokaliptycznym i podlegałby nie krakowskiemu, lecz niebieskiemu sądowi. Pewien mój przyjaciel opowiadał mi, że gotów już był stać się wyznawcą egzystencjalizmu, gdy wtem uświadomił sobie, że całej filozofii egzystencjalizmu może zaprzeczyc krowa, zwyczajna krowa, która przecież nie ma żadnego „planu życiowego”. Wierzbowska — na odwrót — widzi ratunek dla owego przeobrażenia metafizycznego na widok Amona Goetha — w byku apokaliptycznym.

Sprawy, odległe na pozór, łączą się jak widzimy na tej fantastycznej planecie: Amon Goeth, bestia apokaliptyczna, mój przyjaciel — egzystencjalista, krowa, która zniszczyła filozofię egzystencjalistyczną, byk ziębiający okiem ognistym i czule serce kobiety.

m 1

Konfederacja „Tygodnika” Warszawskiego

„Tygodnik Warszawski” zajął się niedawno dociekaniem źródeł hitleryzmu. Cóż, bardzo pięknie, można by najwyżej wskazać na sigillum temporis, jeśli nawet pismo dotąd unikające w miarę możliwości podejmowania tego rodzaju zagadnień, odważnie chwytą byka za rogi, gdyby nie dziwne wynikające z tych rozważań wnioski.

W Nr 34 (41) „Tygodnika Warszawskiego” p. Michał Paradowski w artykule p. t. „Źródło hitleryzmu” znalazł wreszcie istotne przyczyny faszystacji Niemiec.

„Nic tak nie urabia psychiki człowieka jak religia. Przez wieki wychowując naród niemiecki, protestantyzm w pełni go odchrześcijał, odromatyzował, zjudaizował i spoganizował, uczynił czymś obcym w Europie, jednocześnie mamiąc go, że jest narodem chrześcijańskim.”

Od protestantyzmu był już tylko krok do hitleryzmu. „Zło trzeba usuwać z korzeniem, gdyż inaczej odrasta nierzaz jeszcze obficie. Chcąc Niemcy odhitleryzować, trzeba je przede wszystkim odprotestantyzować”.

A my, naiwni, sądziliśmy, że są jakieś przyczyny ekonomiczne — społeczne. Nieprawda. Przez judaizację protestantyzacji do hitleryzmu! Oto właściwe źródło zarazy hitlerowskiej. Niedarmo, jak twierdzą wiarygodne źródła historyczne, diabeł, który ukazał się na ścianie Lutrowi, a w którego ów juraizujący protestant Luter, praprzad Hitlera, rzucił kałamazem, nosił czapkę z hackenkreutzem.

Huzia na dysydentów! Zawijujemy nową Konfederację! A na początek może by p. Paradowski zaproponował małą powiatową kruciatę przeciw protestantom polskim, którzy dokumentując swą polskość, ponieśli olbrzymie ofiary w walce z Niemcami?!

Do jakich dziwnych musi uciekać się argumentów „Tygodnik Warszawski”, by zachować bojową postawę. I w jak ciemnych okrywać musi zakamarkach tajony antysemitizm, którego jawnie nie wypada okazywać.

Cena Wieczności

Ksieża Palotyni z Ołtarza pod Warszawą rozsyłają drukowane odezwy, wzywające wiernych do składek na rzecz „Misijnego Skarbu Mszalnego Królowej Apostołów”. Złożenie tej ofiary zapewnia, jak głosi odezwa, specjalnie „korzyści”, mianowicie: „Za żyjących i zmarłych członków i za ich potrzeby odprowadza się corocznie 1095 mszy św. (codziennie trzy). W ten sposób członkowie mają codziennie udział w kilku mszach świętych...”

W następnym punkcie odezwy, p. t. „Warunki”, podany został cennik, który przytaczamy dosłownie:

„Jako ofiarę składa się: 1) za osoby żyjące: na rok 50 zł; na całe życie 200 zł, na całe życie i po śmierci 300 zł. 2) Za osoby zmarłe: na rok 50 zł; na całe życie 200 zł.

Z powyższego jasno wynika, że różnica między opłatą „na całe życie” a opłatą „na całe życie i po śmierci” wynosi zaledwie — 100 zł obiegowych, zaś korzyści mszalne „na całe życie” (!) można sobie zapewnić już za 200 zł.

A my sądziliśmy, że cała wieczność duchowieństwa zakonnie i w ogóle spirytualistów szacują jednak znacznie wyżej.

bd.

Opowieść bezdzietnego małżeństwa czyli czule serce „Gazety Ludowej”

W jednym z ostatnich numerów „Gazety Ludowej” w artykule p. t. „Szukam dziecka. Opowieść bezdzietnego małżeństwa” czytamy:

Wojna pozostawiła tysiące sierot. Tysiące małżeństw znalazły się bez dzieci. Odbywać się, powinna się odbywać, skrzętna wielka, wędrowna bezdzietnych małżeństw w poszukiwaniu dzieci.

Następuje długie i rzewne opowiadanie o pewnej bezdzietnej parze, która na własną rękę i w dość, jak się przekonamy, osobliwy sposób szukała sobie „sierotki” na wychowanie.

„Nigdy się tak po Polsce nie najeżdżili” — „Gazeta Ludowa” — „o wydatkach i trudach się nie mówi”.

O dziecko rozpytywali znajomych. Pilnie czytali ogłoszenia w gazetach i opisy społecznych urządzeń i instytucji, gdzie na koszt państwa czy samorządu, czy wreszcie ludzkiej ofiarności przebywają sierotki. Słusznie sądził, że np. z takiego dziecińca, sierocińca, zakładu czy przytulku, czy żłobka będą mogli bez żadnych przeszkód wybrać sobie i wychować dziecko, bowiem lata idą, a los nie obdarzył ich własną maleńką pociechą. Dawali nawet anonisy do bardziej poczytnych czasopism.

Niestety wszystkie te środki zawiodły. Wreszcie w pewnym dużym sierocińcu „urzymywanym ze składek ofiarności publicznej” bezdzietne małżeństwo wzięło się na sposób. Jako osobę najmiarodajniejszą uznało — woźnego.

„Zawsze to najlepsza droga. Obdarowali go naturalnie, jak mogli, czym nadzwyczaj zjednali sobie jego serce i przychylność”.

„Akurat sierotki przechodziły do sali jadальной. Małżeństwu z miejsca wpadł w oczy i serce dorodny czarnowłosy miły, może pięcioletni chłopiec. O takim właśnie marzyli!”

„Chcąc sobie ostatecznie zjednać woźnego i przełamać jego urzędowość, dla nich zupełnie niezrozumiałą, wciśnili mu jeszcze całe tysiąc złotych. W razie pomyślnego załatwienia jeszcze obiecali”.

I oto ku rozpacz panu (rw) z „Gazety Ludowej” z tego źródła władzy, jakim był obdarzony woźny, bezdzietna para dowiedziała się że sierociniec dzieci nie rodzi.

Co wtedy robili? Wszyscy ci, panie i panowie, którzy tym sierocińcem się zajmują? Którzy wydają przydziały, zbierają składki, wielkie składki? Którzy o nim mówią i piszą? Z tego żyją przecież, zwolują dziennikarzy i w jaknajbardziej barwne przedstawiają im dole opuszczonych dzieci? Otrzymują z tego tytułu wysokie odznaczenia. Tym dzieciom tu niczego nie brak. Niczego, co dziś może dać pieniądz. Brak im tylko matczynego — rodzicielskiego serca. Brak im ciepła domu.

konkluduje porte-parole organu p. Mikołajczyka, puściwszy farbę po tysiąc złotych upominku.

Istotnie moral tej bajeczki jest zastanawiający. Znać są każdemu, kto zna życie w Polsce, poglądy naszego przeciętnego kołtuna na rolę urzędów społecznych: szpitali, żłobków, sierocinieców. Społecznicy i pisarze od pół wieku walczą z ciemnotą, której jednym z przejawów jest nieufność do tych instytucji: „ma iść do szpitala — niech lepiej umrze w domu”. „Co? Ma dziecko iść do szkoły czy przedszkola? Niech siedzi w zaduchu własnej chałupy”.

„Ale „Gazeta Ludowa” w r. 1946 popiera inicjatywę prywatną. Te same argumenty uczuciowe, które wyznawcom p. Mikołajczyka każą rozczulać się nad ciężką dolą prywatnego przedsiębiorcy powodowały zapewne redaktorami tego pisma przy zamieszczeniu małego „chwycić za serce” artykułu: „Gazeta Ludowa” nie stawia sierocińcom konkretnych zarzutów. „Dzieciom niczego nie brak” — stwierdza — „prócz domowego ciepła”. W to, jak się to „ciepło” będzie przejawiać wobec dziecka wziętego na garnuszek przez kołtuna, który nie gardzi rozdawaniem łapówek woźnym, byle zdobyć sobie na własność „ładnego, czarnowłosego chłopczyka” — „Gazeta Ludowa” nie wchodzi. Grunt inicjatywa prywatna — przez sierociniecami, bo w nich nie ma serca. Zresztą mogą zostać dla brzydszych dzieci, których nikt nie wybierze.

Niech się „Gazeta Ludowa” później nie dziwi, że przy takim stosunku do urzędów społecznych (które zresztą mogą mieć braki i niedociągnięcia, z których brakami należy walczyć!) przedłuża się walka z ciemnotą, znachorstwem, nieposylaniem dzieci do szkoły i że odpowiedzialność za zafacanie społeczne i cywilizacyjne Polski spada właśnie na nich — „chłopów z Marszałkowskiej” i apologetów bezdzietnych małżeństw o czułym sercu. Filantropia zamożnych bezdzietnych małżeństw jako środek na niedomagania społeczne, ma już bowiem ustaloną nie od dziś renome.

rm.

Na temat pewnego listu

„W związku ze sporem z Janem Brzechwą a Wydawnictwem Eugeniusza Kuthana Ministerstwo Kultury i Sztuki podaje do wiadomości, że sprawę zgłoszono do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Biorąc to pod uwagę oraz celem utrzymania wzajemnie lojalnych stosunków między pisarzami a wydawcami Ministerstwo Kultury i Sztuki zwraca się z zaleceniem zaniechania wszelkich publicznych oświadczeń w tej sprawie do czasu jej rozstrzygnięcia przez kompetentne władze lub Sady.”

Powyższe podaje się jednocześnie do wiadomości w komunikacie prasowym Ministerstwa Kultury i Sztuki.”

Przeczytałem ten list i oczom własnym nie chciałem wierzyć. Przeczytałem go po raz drugi, obejrzałem pod światło, zastanawiałem się przez czas dłuższy, a jednak nie mogłem pojąć jego treści oraz intencji. Na mój głupi prawniczy rozum zaszło tu jakieś kapitalne nieporozumienie. Mój osobisty spór z Kuthanem skierowałem na drogę sądową, jako że w myśl konstytucji powołana jest do tego władza sądowa, nie zaś władza wykonawcza. I na tym kończy się to, co Mini-

sterstwo nazywa „sporem między Janem Brzechwą a wydawnictwem Eugeniusza Kuthana”.

Natomiast poza tym sporem znajduje się wszystko, co zarzucił Kuthanowi w „publicznych oświadczeniach” i co nie da się załatwić ministerialnym zaleceniem, abym o tym przestał mówić.

Przez wiele lat podejmowałem się obrony twórców przed nieuczciwymi wydawcami, fabrykantami płyt, producentami filmów i przedsiębiorcami wszelkiego rodzaju. Wiele lat poświęciłem walce o prawo autorskie. Może więc dlatego pokrzywdzeni przez Kuthana twórcy szukali u mnie rady i pomocy. Ponieważ spraw takich było coraz więcej, wystąpiłem przeciwko Kuthanowi z „publicznym oświadczeniem”.

Zarzucałem mu nieuczciwość oraz czyny przestępne. Mogę podać nazwiska pokrzywdzonych. Są to Władysław Rymkiewicz, Zofia Petersowa, Maria Beresiewicz.

Zarzucałem mu nadto wyzysk artystów i wykorzystanie ich przymusowej sytuacji. Nazwisk nie potrzebuje przytaczać, gdyż oni sami piętnują w prasie postępowanie Kuthana.

To nie znaczy, że niekiedy przyłapano na gorącym uczynku i przyciśnięty do muru, dla uniknięcia odpowiedzialności taką czy inną zapłatą zdołał zatuszować sprawę. Fakt nadużycia pozostaje faktem i gdyby przestępstwa tego typu dochodzone były w trybie publicznego oskarżenia, żadna zapłata nie uwolniłaby Kuthana od kary. To nie znaczy, że za pomocą sprytnego manewru udaje się Kuthanowi niekiedy unieszkodliwić ofiarę, a nawet wydobyć od niej skwitowanie pretensji. Wiemy, że nadto dobrze, jak inscenizuje się takie rzeczy.

Temu co przytoczyłem wyżej Ministerstwo błędnie nadaje nazwę sporu, pomiędzy mną a Kuthanem. Słuszna troska o „zachowanie lojalnych stosunków między pisarzami a wydawcami”, powinna była — gdy chodzi o Kuthana — nasunąć Ministerstwu inną zgolałację, aniżeli zalecenie mi, bym poniechał zabierania głosu w tej sprawie. Boć przecież do mnie odnosi się treść cytowanego listu, skoro publiczne oświadczenie składałem ja, a nie Kuthan. Tylko, że Ministerstwo posunęło się dalej, poza chęć udzielenia mi zalecenia, list bowiem przesłało również Kuthanowi, a nadto ogłosiło go w komunikacie prasowym. Jasne jest, że w tym wypadku chodziło Ministerstwu o zaznaczenie swego negatywnego stanowiska względem mojego wystąpienia i o równoczesne poinformowanie o tym stanowisku Kuthana. Prosta analiza logiczna listu prowadzi — za tym do wniosku, że „Min. Kultury i Sztuki” wzięło w obronę wydawcę przeciw pisarzowi. Dziwna to, zaiste, gdyż nigdy dotąd Ministerstwo nie brało w obronę artysty, atakowanego w prasie i nigdy w komunikacie prasowym nie zalecało krzywdzicielom poniechania napaści „celem utrzymania wzajemnie lojalnych stosunków”. A więc mamy do czynienia z precedensem i w dodatku o tyle niepokojącym, że w obronę wydawcy Ministerstwo zaleca pisarzowi, aby nie pisał o tym, co w jego przekonaniu powinno być wyniesione na forum publiczne. Jednym z motywów wystąpienia Ministerstwa ma być to, że „sprawę zgłoszono do Ministerstwa Kultury i Sztuki”. Ani ja, ani nikt z pokrzywdzonych twórców jej nie zgłaszał, chociażby dlatego, że rozstrzygnięcie jakiegokolwiek sporu leży poza granicami kompetencji Ministerstwa.

Jeżeli sprawę zgłosił Kuthan: Ministerstwo pomimo wszystko podjęło się rozstrzygnięcia, dziwić się można jednostronnemu podejściu do rzeczy. Zalecając mi poniechanie publicznych wystąpień, Ministerstwo nie zaleciło jednak równocześnie Kuthanowi, aby do czasu rozstrzygnięcia sporu powstrzymał się od wydawania moich książek, co, jak twierdzą, czyni bezprawnie.

A więc w imię czyjego dobra zabrało głos Ministerstwo Kultury i Sztuki. Czy w imię dobra twórców, których powinno otaczać opieką? Sądzę, że na to pytanie musiałoby wypaść odpowiedź przecząca.

W tych warunkach, wydaje mi się, że list i komunikat prasowy Ministerstwa trudno byłoby nazwać krokiem ostrożnym, a ostrożność zalecała się też i z tego względu, że niektórzy urzędnicy Ministerstwa wydają swoje dzieła u Kuthana. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że szukając u nich oparcia, dla nich z pewnością jest dobrym wydawcą.

To chyba jasne, że klusownik nie będzie wlażył na odcisk gajowemu. I prawdopodobnie Ministerstwo Lasów nie będzie w imię „utrzymania wzajemnych lojalnych stosunków” między klusownikiem, a upolowanym kozłem, zalecało kozłowi, aby miledzał.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Mam pełne uznanie dla zadań i celów Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wielce szanuję kolegów pisarzy piastujących w tym Ministerstwie wysokie godności. Ubolewam jedynie nad tym, że Ministerstwo dało się zaplątać w intrygi Kuthana i wskutek jego podstępnych zabiegów zdecydowało się wysłać i opublikować ten niezrozumiały list.

Jan Brzechwa

CENY OGŁOSZEŃ: 1 linia zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1 linia zł 5.000; Probie ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalce.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D-011035

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.